Lwów, Niedziela dnia 18. Maja 1879 r.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 16.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

WYDZIAŁ MEDYCZNY
WE LWOWIE.

Dzięki energicznemu wystąpieniu posła Ottona Hausnera i poparcia go ze strony jego kolegi, Euzebiusza Czerkawskiego, doczeka się może w końcu Lwów ustanowienia medycznego wydziału przy istniejącym w nim uniwersytecie. Powiadamy: może się doczeka, wykonanie bowiem uchwały izby zależy od tylu warunków, od tak bardzo wielu okoliczności, że ministerjum może znowu uzna za właściwe całą tę sprawę odłożyć *ad acta*.

Bądź co bądź p. Hausner zasłużył się krajowi znakomicie, Lwowowi zaś sowicie wypłacił się za przyznane mu obywatelstwo. Odtąd imię p. Hausnera musi być związanem na zawsze z istnieniem medycznego wydziału we Lwowie. Nie pierwsze to jego wystąpienie w tej sprawie, przed czterma laty on także głównie przeparł ją w galicyjskim sejmie, gdzie znalazła się koterja, silnie sprzeciwiająca się projektowi medycznego wydziału we Lwowie.

Zapyta kto może, jaka korzyść z medycznego wydziału dla kraju? Po odpowiedź na to pytanie odsyłamy ciekawych do gruntownie napisanej broszury przed czterma laty przez profesora krakowskiego uniwersytetu, Piotrowskiego; w niej znajdą szczegółowo wyprowadzone i na statystycznych danych oparte wszystkie korzyści, jakich można i potrzeba spodziewać się dla Galicji z ustanowienia medycznego wydziału przy lwowskim uniwersytecie.

Pomijając więc kwestję korzyści powszechnych, dotkniemy tu kilku słowy tę ich stronę, która się odnosi wprost do samegoż uniwersytetu. Otóż śmiało można twierdzić, że na urządzeniu w uniwersytecie lwowskim medycznego wydziału ogromnie wygrywa cała kształcąca się w nim młodzież, a to pod tym względem, że przed ich umysłem odkrywa się obszerniejszy horyzont wiedzy, że pozbędą się tego zimnego pedanckiego zapatrywania się na wszystko, jaki się wyrabia u ludzi, wyłącznie jedną rzeczą zajętych i w jednej zamkniętej sferze ciągle się obracających, gdyż przez samo stykanie się z adeptami medycyny nabędą mimowolnie pewnej wszechstronności w pojmowaniu rzeczy czy to praktycznych, czy teoretycznych. Nikt bowiem zaprzeczyć nie może, że pod wpływem wymiany pojęć wyrabia się w takich instytucjach pewna umysłowa atmosfera, silnie oddziaływująca na wszystkich, co w tej atmosferze żyją, a to nie tylko na młodzież, której wrażliwy umysł wpływom tym oprzeć się nie umie, ale nawet na profesorów, którzy acz powoli, niemniej wszakże przystosowują się do niej w mniejszym lub większym stopniu.

Jest jeszcze inna korzyść medycznego wydziału. W obec wszystkich nauk, medycyna jedna posiada ten przywilej, że wolno jej bezkarnie, bez rozbudzania przeciwko sobie bogobojnej niechęci, postępować krok w krok za rozwojem oświaty powszechnej, przyjmować teorje jakie uzna za dobre, chociażby to był Darwinizm i pozytywizm. Otóż z tego przywileju nie zaniedbuje ona korzystać i dlatego służy na każdym uniwersytecie za naturalny przewodnik, za pomocą którego zasady powszechnego postępu wkraczają powoli na wszystkie wydziały, zmuszając je jeżeli nie do zupełnej reformy swych wykładów, to przynajmniej do tolerancji, do traktowania spornych kwestji w sposób naukowy, a na razie do większej wszechstronności, do oglądania się na to, co gdzie indziej się naucza i do liczenia się w swych wykładach z pojęciami, których pomijać nie może, bo stały się już własnością wszystkich.

Już te częściowe tylko korzyści, rozważane w stosunku do samego uniwersytetu lwowskiego, dają nam poznać, jak potrzebnym jest wydział medyczny i jak zbawiennie oddziałać on musi na kierunek oświaty w całym kraju. A cóż już mówić o innych korzyściach wynikających z ulepszenia się sanitarnych stosunków kraju!... Profesor Piotrowski wykazuje to w swej broszurze dokładnie, z fachową znajomością rzeczy.

POZORY.

POWIEŚĆ

przez

WŁADYSŁAWA SABOWSKIEGO.

TOM PIERWSZY.

(*Ciąg dalszy.*)

IV.

Do domu baronostwa Pogromskich, zwanego przez służbę pałacem, choć tego tytułu nie akceptowała Warszawa, doszła już wieść powiększona potwornie o nieszczęściu, jakie się przytrafiło paniczowi.

Ów kulejący sługa, co pana opuścił w nieszczęściu, uszedłszy kawałek drogi napotkał próżną dorożkę, wsiadł do niej i przyjechał co prędzej do pałacu, ażeby gorliwością bezpieczną wynagrodzić i naprawić zaniedbanie w niebezpieczeństwie.

—Młody pan baron się potłukł!... młody pan baron poraniony!... młody pan baron się zabił!...—zagrzmiało w jednej chwili po jego przyjeździe na wszystkich piętrach i po wszystkich pokojach domu baronostwa.

Na sam odgłos tej wieści, nie czekając dalszych szczegółów, baronowa zemdlała, baronówna głośnym płaczem wybuchła, a stary baron Zygmunt, jedyny człowiek, co w całym domu przytomność zachował, wszystką służbę po doktorów porozpędzał.

W kilka chwil potem przyjechał pierwszy konsyljarz, — tego zarekwirowano do baronowej.

W pięć minut jeszcze przyjechało dwóch drugich — jednemu z nich powierzono uspokajanie baronównej, z drugim pan baron pospieszył do dorożki, którą przyjechał dezerter z miejsca katastrofy, aby się udać bezzwłocznie na widownię nieszczęścia.

Wychodzili właśnie z bramy we trzech, gdy baron Narcyz wysiadał z amerykanki lekki, szczęśliwy i cały.

Baron Zygmunt Pogromski szczęśliwy, jakby zmartwychwstałego syna zobaczył, przyjął go w swoje objęcia, wołając:

— Żyjesz Narcyzie!...

— Żyję ojcze, żyję!... Temu panu zawdzięczam życie... Walczyłem z niebezpieczeństwem jak bohater, jak lew, jak prawdziwy baron... gdyby jednak nie ten pan, na nicby się nie przydały moje wysilenia... Temu panu ojcze podziękuj, że mnie masz jeszcze.

Stary baron spojrzał na Rzewnickiego. Niewielkie drgnienie rąk świadczyło, że je instynktownie chciał do niego wyciągnąć. Ale niebezpieczeństwo przeminęło, nie było racji się rozczulać na podzięki bez rozważenia, czy było do kogo. Zwrócił więc na syna pytające spojrzenie.

— Ten pan... jakże mam...

— Pan Emil Rzewnicki, ojcze kochany, nieoceniony człowiek, prawdziwy dżentelman... po rycersku się znalazł... uściskaj go ojcze... ja biegnę do mamy, do Nini...

Po tem przedstawieniu dopiero baron Pogromski raczył wyciągnąć swą prawicę do wybawcy swojego syna i uścisnął go serdecznie, tem serdeczniej, że sobie przypomniał nagle, iż jedna z siostr ciotecznych jego żony była za Rzewnickiem, człowiekiem bogatym, o krwi nieposzlakowanie czystej.

— Dziękuję panu — powtarzał — ojcowskiem sercem dziękuję panu.

Nagle go widać opanowało wzruszenie, bo na razie na jedno słowo więcej zdobyć się nie mógł, a głos jego drżał i słabnął.

— Panie baronie — odrzekł Rzewnicki — wdzięczny jestem przypadkowi za to, że mi pozwolił oddać przysługę pańskiemu synowi, który jednak jestem przekonany, nawet bez mojej pomocy byłby pokonał niebezpieczeństwo i wyszedł cało z przygody.

— Ojcowskiem sercem dziękuję — powtórzył raz jeszcze baron — pozwól pan jednak do salonu...

—Przepraszam, panie baronie, inne obowiązki... — bronił się Emil.

Baron go ciągnął delikatnie za rękę.

— Nie puszczę pana, dopóki nie spoczniesz i bliżej się z nami nie poznasz... proszę... proszę... koniecznie, panie... nie ucieka się od ludzi, którym się wyświadczyło dobrodziejstwo.

Rzewnicki przymuszony poszedł. W chwilę potem ukazał się w salonie baron Narcyz, prowadząc z sobą baronównę Ninę, zaledwie utuloną z płaczu. Niedługo i baronowa ochłonąwszy z wzruszeń, przybyła, aby podziękować wybawcy swego jedynaka. Emil obsypany podziękowaniami i wynurzeniami wdzięczności, mięszał się i nie wiedział prawie co począć, dopóki go nie wyprowadził z kłopotu Narcyz rozpoczynając opowiadać bezczelnie przesadzoną o swem bohaterstwie historją.

Wylewy uczuć i podzięk mieszały naszego bohatera, zdawało mu się na chwilę, że się nagle znalazł w świecie serca, w którym płacą uczuciem za przysługi. Ubarwione kłamstwami opowiadanie Narcyza przypomniało mu, że się znajdował tylko w krainie pozoru. Ochłódł więc nagle, oprzytomniał i nie mięszał się już więcej, pilnując tylko miejsc, w których wypadało przerwać opowiadającemu i prosić go grzecznie, żeby nie podnosił do rozmiarów wielkiego czynu, wyświadczonej sobie drobnej przysługi.

Przerwy te naturalnie wywoływały nowe podzięki i nowe wynurzenia wdzięczności, a po nich Narcyz jeszcze wyżej podnosił swoje i Emilowe bohaterstwo.

Skończyło się opowiadanie. Rzewnicki wziął za kapelusz. Nie puszczono go jednak bez nowego potoku powinszowań i dziękczynień. Najmniej w nich hojnym był ojciec, najobfitszą matka, baron Narcyz nie widział potrzeby bardzo dziękować, skoro czyn Rzewnickiego a przy okazji swój, do heroizmu podnieść mu się udało; baronówna uwielbiała poświęcenie Emila, i po kilkakroć drobną swą rączką ściskała jego rękę na znak podzięki.

Na odchodnem baronowa znalazła sposobność zapytać:

— Wszak pan jest krewnym pana Marjana Rzewnickiego z Rumianek w Lipnowskiem?...

— Dalekim pani — odrzekł Emil — mój ojciec był stryjecznym bratem Kryspina Rzewnickiego, ojca pana Marjana.

—A za panem Marjanem jest moja cioteczna siostra, z domu hrabianka Mirska.

— Jesteśmy więc z panem skoligaceni, panie Rzewnicki — wtrąciła z miłym uśmiechem baronówna Nina.

— Wielki to dla mnie zaszczyt, pani — odpowiedział kłaniając się grzecznie nasz bohater.

— I spodziewamy się — zakończyła baronowa — że pan nie zapomnisz, iż dom nasz zawsze dla niego otwarty.

Tem napomnieniem zakończyło się pożegnanie.

Wyszedłszy na ulicę i oddaliwszy się o kilkadziesiąt kroków, Rzewnicki przystanął, zdjął kapelusz, otarł pot z czoła, uśmiechnął się i rzekł do siebie:

— Otóż byłem w opałach!... Ciekawym jakie porobiliby miny, gdybym im tak powiedział, że jestem... kupczykiem?

W godzinę potem, wchodząc do kościoła, gdzie co Niedziela bywała Natalja z matką, nie myślał już wcale o swoim bohaterskim czynie, o ocalonym baronie Narcyzie, o swej bardzo dalekiej ale niemniej przeto zaszczytnej koligacji z znakomitemi rodami baronów Pogromskich i hrabiów Mirskich, o pięknej baronównie, co tak ochoczo swoją rączką dotykała jego palców, o poważnym baronie co mu ojcowskiem sercem dziękował i o domu zwanym pałacem, którego progi zawsze dla niego otwarte być miały — myślał tylko o tej, co od pierwszego ujrzenia wyłącznie myślą jego zawładnęła, o rozmarzonej dziewczynie, którą pokochał bez nadziei.

Naturalnie, że ani tego dnia, ani następnych nie pomyślał o wstępowaniu w progi pałacu, do którego przypadek wprowadził go na chwilę.

W domu baronostwa jednak nie zapomniano o nim. Baronowa tegoż dnia jeszcze napisała w Lipnowskie do Rumianek, pragnąc zasięgnąć wieści o kuzynie męża swojej siostry ciotecznej; baronówna Nina wspominała go dosyć często, nazywając: „kuzynkiem“, za co ją nawet Narcyz prześladował cokolwiek, a baron Zygmunt dał surowe napomnienie synowi, że roztrzepany, gdyż nawet o mieszkaniu Rzewnickiego się nie dowiedział.

—Wypadałoby przecież rewizytować go, a ten obowiązek ciążył na tobie... inaczej nie wypada mu przyjść.

— Eh! proszę ojca, mała rzecz—usprawiedliwiał się młody baron — byłem tak wzruszony, żem o tem nie mógł pamiętać — rozpytam się między znajomymi to się dowiem gdzie go szukać, a gdybym się nawet nie dowiedział, to i tak przyjdzie.

— Jakto?... nie zna form towarzyskich?

— Gdzietam nie zna ojcze! zna je wybornie, tylko je trochę lekceważy. Wystaw sobie ojciec, ten człowiek jest tak oryginalnym, że sobie nic z tego nie robi, że powozić nie umie... To drugi tom hrabiego Gustawa, co się uparł nosić całą brodę, chociaż to wcale nie arystokratycznie nosić całą brodę...

Działo się to przed dwudziestu może laty, obecnie pod tym względem odmieniły się pojęcia.

— Hrabiemu Gustawowi to ujdzie... ma majątek i tytuł, a nadto prawi głośno, że się żenić nie myśli, żeby nie rozpoławiać fortuny rodowej... takim ludziom wypada mieć swoje fantazje. Co innego ten pan Rzewnicki, który tylko na zasadzie przyzwoitego nazwiska może bywać w salonach i wątpię czy ma bardzo znaczny majątek, jak jego kuzyn w Lipnowskiem. Tacy młodzi ludzie powinni się szanować i nie pozwalać sobie odstąpień od praw przyjętych w wielkim świecie. Ty nawet, kochany Narcyzie, powinienbyś te dziwaczne zamiejskie wycieczki porzucić...

— O! mój ojcze, już ja więcej za miasto nie pojadę.. chyba z Rzewnickim... nie mam ochoty narażać życia.

— A więc odszukaj Rzewnickiego, gdyż nie wypada żebyśmy się okazali niewdzięcznymi i zapomnieli o tem co dla nas zrobił.

W parę dni potem oddzielnie baronowa a oddzielnie baronówna, o toż samo upominały Narcyza.

Było to skutkiem odpowiedzi jaka nadeszła na list pisany do Rumianek. Donoszono w niej, że ojciec męża hrabianki Mirskiej, ciotecznej siostry baronowej, miał dwóch braci stryjecznych, każdego po innym stryju. Obaj oni nie zostawali w żadnych prawie z dziedzicem Rumianek stosunkach. Jeden z nich w ciągu życia podupadł bardzo, ożenił się z mieszczanką i gdzieś na małej dzierżawie już dość dawno życia dokonał, nie pozostawiwszy po sobie *podobno* żadnego potomstwa. Drugi miał być wielkim dziwakiem, odludkiem, w stosunki z familją wchodzić nie chciał, dzieci wychowywał po swojemu i gdzieś pomieszczał po świecie, tak że wieść o nich do Rumianek nie doszła, wiedziano tylko, że był bardzo bogaty i żadnym mezaljansem się nie splamił; owszem był przez żonę skoligacony z bardzo świetnemi domami. Przed śmiercią, która nastąpiła ośm czy dziewięć lat temu, posprzedawał wszystko co miał i dzieciom pozostawił tylko kapitały. Dalszych o tej linji swego rodu wiadomości Rumianki nie posiadały.

Naturalnie, że z takich wiadomości pani baronowa i panna Nina na wspólnej konferencji wywnioskowały, że Emil musiał być synem owego Rzewnickiego dziwaka. Wniosek podobny był nawet dosyć słusznym, skoro według nadesłanego raportu, linja podupadła i skoligacona z mieszczanami, miała już zupełnie wygasnąć. Skutkiem takiego wniosku

obie uznały za stosowne napominać Narcyza, żeby się koniecznie o swoim wybawcy wywiedział.

— On powinien być stałym gościem naszego domu, Narcyzie mówiła baronowa — *autrement on nous appelerait ingrats*... winniśmy mu otworzyć salony, które ojciec jego przez dziwactwo dlań zamknął, a do których wstęp mu się należy...

Baronówna wprost o niewdzięczność oskarżała swojego brata.

Nie potrzeba było tych podniet, Narcyzowi samemu Emil najbardziej był potrzebnym. Był on żywem świadectwem mniemanej odwagi okazanej przez młodego barona w niebezpieczeństwie. O tej swojej odwadze Narcyz opowiadał każdemu kto miał uszy godne słuchania powieści o baronowskich przygodach. Nieraz jednakże widział on — może też zdawało mu się tylko — że na ustach osób, którym powtarzał swą historję, błąkał się jakiś uśmiech powątpiewania czy też otwartej niewiary. Potrzeba mu było świadka, któryby jego bohaterstwo uprawdopodobnił. Na takiego świadka nieocenionym był Rzewnicki, miał bowiem tyle taktu, że niczemu nie przeczył, a jeśli protestował przeciw wielkości własnego poświęcenia, czynił to w sposób bardzo delikatny, nie kompromitujący wcale barona Narcyza, podaniem w wątpliwość jakiegokolwiek szczegółu z jego opowiadań.

To też jak inni myślą i pracują nad rozwiązaniem najważniejszych zagadnień życia, nad wynalazkiem funduszu na komorne lub drogi do wyższej posady, tak baron Narcyz myślał i pracował nad wynalezieniem Emila.

A było to bynajmniej nie łatwe zadanie:

Za owych czasów, choć epoka, w której się dzieje nasza powieść jest epoką nie tak dawną, nie znano jeszcze biura adresowego, dla wszystkich zaś osób, z któremi baron Narcyz mógł rozmawiać o swym wypadku, Rzewnicki był iksem. Nadto nie wypadało mu wprost dopytywać się o niego, jako o człowieka, który już raz przestąpił progi domu baronostwa, o którym zatem cośkolwiek więcej wiedzieć należało, niż wiedziano.

Wszystko to utrudniało poszukiwanie.

Pozostawały tylko dwie nadzieje odszukania wybawcy. Jedna wątła, że sam przyjdzie drugi raz, druga niepewna że go będzie można gdzie spotkać.

Ale Rzewnicki nie przychodził, co go jeszcze wyżej w pojęciach baronowskiego domu stawiało, gdyż było dowodem, jak mówiono, że znał swą godność, czyli jak się to technicznie nazywa, że na rewizytę polował. Spotkać go zaś na ulicy młody baron nie mógł, choć pragnął. Przypadek na który liczył, spóźniał się z oddaniem mu usługi, jakiej się po nim spodziewał.

Tak upłynęło półtora tygodnia.

V.

Wspomnieliśmy przypadkiem hrabiego Gustawa który był tak dalece oryginalnym, że nosił całą brodę, chociaż to było niezbyt arystokratycznie. Interes naszej powieści wymaga, żebyśmy się postarali o zaszczyt zabrania bliższej znajomości z jego osobą. Czynimy to z całem przejęciem się uczuciem wielkości tego zaszczytu, przybrani we frak ostatniej mody i rękawiczki nieskażonej czystości. Uwolnić się nie możemy od tej formy, bo nikt z tych co się zaznajamiają z hrabią Gustawem, uwolnić się od niej nie myślał, jakkolwiek hrabia Gustaw w oryginalności swojej wyraźnie oświadczał, że do form tego rodzaju najmniejszej nie przywiązuje wagi, i z tego tytułu względem tych co w obec niego praw etykiety się trzymali, z pod jej przepisów się emancypował.

Hrabia Gustaw, *fils cadet*, znakomitej rodziny, był człowiekiem postępowym w całem znaczeniu tego wyrazu. Wchodził w stosunki, nawet dość poufałe i zażyłe z ludźmi, co się otwarcie przyznawali do niskiego pochodzenia: życie prowadził zupełnie nie pańskie, częściej się pokazywał na ulicy niż w salonie, częściej piechotą niż w powozie. Był uważany za protektora literatury i sztuki, choć książek, obrazów i posągów nie kupował i nie studjował, lecz za to lubił w śniadannych godzinach, najczęściej w oddzielnym pokoiku jakiego renomowanego składu zamorskich delikatesów, otaczać się literatami i artystami, studjując z ich ust własnych, opowiadania o tem co napisali albo wykonali pędzlem czy dłutem. Zapalony wielbiciel piękna, przenosił jednak oryginalne dzieła natury, miłem spojrzeniem błyskające oczy i tchnące życiem a uśmiechem przybrane twarzyczki, nad płócienne albo kamienne kopje mistrzów, zwłaszcza też mistrzów domorosłych. Był prawdziwie pięknym mężczyzną, a z brodą tak mu było do twarzy, że jej zwyczajom swojej sfery poświęcić nie chciał; był bogatym, posiadał to co nazywają wychowaniem świetnem, a w dodatku szczególną zdolność przybierania w rozmowie z kobietami takiego tonu, jaki dla każdej za najwłaściwszy do oddziałania na jej wyobraźnię uważał, prawdziwy talent odgadywania dróg wiodących najprędzej i najłatwiej do serc i do główek niewieścich. Przy tych przymiotach nic dziwnego że mu nigdy nie brakowało podbojów, że je miał we wszystkich sferach i że zepsuty niemi coraz innych szukał, co mu nareszcie wyrobiło opinją najniestalszego pod słońcem hrabiego.

W rodzinie, w domach z rodziną spokrewnionych i w ogóle w całym wielkim świecie, wybaczano hrabiemu Gustawowi brodę i nie miano mu za złe jego znajomości i stosunków, nie zawsze ostrożnie dobieranych i zawiązywanych częstokroć bez zajrzenia do herbarzy: *Gniazd rycerstwa* i tym podobnych *studbooków*.

Ta tolerancja miała swoją ważną przyczynę.

Hrabia Gustaw nim stał się popularnym, nim się zdemokratyzował, złożył wprzód na ołtarzu zasady wprost przeciwnej, na ołtarzu doktryny rodowej, ofiarę dowodzącą wielkości poświęcenia, do jakiego w imię idei był zdolny. Zobowiązał się najuroczyściej jak tylko było można, że nigdy nie pomyśli o uwiecznieniu przez małżeństwo młodszej linji swojego rodu, ślubował celibat dozgonny, aby nie rozpolawiać fortuny, która takiego blasku dodawała jego nazwisku. Jako uroczysty dowód szczerości swych intencji, ażeby dać niejako zakład i gwarancją, że postanowienia nie zmieni, wyrzekł się nawet osobistego zarządu częścią fortuny jaka nań przypadła, oddał ją całą w administrację starszemu bratu, który sam lub przez swoje potomstwo miał ją odziedziczyć po jego śmierci, i poprzestawał na ustanowionej raz na zawsze sumie dochodu, do wysokości której z całą skrupulatnością potrzeby swoje ograniczał.

Zdawałoby się, że po takim czynie, dowodzącym w hrabi Gustawie najgłębszego przejęcia się ideą kastowości i niezłomnej woli służenia tej idei, nawet poświęcaniem praw i widoków osobistych, słowa i maniery, któremi główinie, a nawet niemal wyłącznie, objawiała się jego popularność, oceniane będą bardzo surowo w sferach u których za popularnością gonił. Tak jednakże nie było. Hrabiego Gustawa bynajmniej nie zdepopularyzowało to, że zasadom wprost przeciwnym względem tych jakie pragnął żeby mu przypisywano, ofiarą swej fortuny zbudował świątynię i jak kobiety za najniestalszego tak mężczyźni, z którymi żył, mieli go za najpopularniejszego hrabiego, o jakim kiedykolwiek słyszano. Ani jednej ani drugiej z tych jego zalet czy przywar niktby się nie ośmielił nazywać lub uważać za pozorną, a nawet czytelniczki nasze, które może co do pojęć socjalnych hrabiego Gustawa nie dowierzają mu cokolwiek, o niestałości jego nie wątpią zapewne. Moglibyśmy te wątpliwości rozproszyć jednem niewielkiem zapytaniem: czy można sądzić o stałości albo niestałości człowieka, który nigdy nie kochał i nigdy już podobno kochać nie będzie, chociaż miał kochanek tuzinami?... wolimy jednak nie poruszać tej kwestji nieco drażliwej i pozostawić hrabiemu Gustawowi opinję, jaką się cieszył (bo że się nią nie smucił, to pewna).

Prawda, że tolerancja, jaką postępowanie hrabiego Gustawa spotykało w sferach arystokratycznych nie szła tak daleko, żeby naczelnicy utytułowanych rodów stawiali go zaprzykład do naśladowania swoim dorastającym i dorosłym synom. Owszem, nieraz zdarzało się, że ojciec hrabia mówił do hrabiego syna jak baron Zygmunt Pogromski do barona Narcyza:

— *Tu ne dois pas imiter ce vaurien de Gustave... il s'encanaille...*

A w tem dosadnem wyrażeniu *„il s'encanaille,“* malowało się całe oburzenie, jakiem podobne odstępowanie od form przyjętych przejmować musi ludzi lepiej urodzonych niż inni, nawet wtedy, gdy się go dopuszczają ci, co do tego heroiczną ofiarą nabyli prawa.

To też baron Narcyz, mimo to że bardzo lubił Gustawa i czuł jakiś instynktowny pociąg do jego sposobu życia, dosyć rzadkie miał z nim stosunki, i przez całe półtora tygodnia od owej przygody nie miał sposobności własnoustnie opowiedzieć mu o wypadku, w którym tak zaszczytną i chlubną a pełną niebezpieczeństw odegrał rolę.

W owym czasie, kiedy wypadek pod Wilanowem rozwiązywał tak prędko urwane stosunki barona Narcyza z Emilem, w sercu, a mówiąc właściwiej w budżecie domowym hrabiego Gustawa zawakowała pewna, dosyć sowicie opłacana, a przez piękną kobietę tylko zająć się mogąca posada.

Ponieważ nie piszemy dziejów ekonomiczno-serdecznych demokraty hrabiego, nie do nas więc należy opowiadać jakim sposobem przyszło do tego wakansu, dosyć, że od pewnego czasu hrabia Gustaw nie miał gdzie, a raczej nie miał z kim przepędzać wieczorów,

*

których w ogóle nie lubił poświęcać swoim znajomym z wyższej albo niższej sfery.

Hrabia Gustaw poszukiwał zatem pięknej kobiety, ażeby się z nią połączyć na czas dłuższy z rodzajem sympatycznego związku, którego form, praw i przywilejów bliżej określać nie widzimy potrzeby.

Dla takiego człowieka jak hrabia Gustaw, wynalezienie czegoś podobnego nie było rzeczą taką łatwą. Dość wybredny w przelotnych nawet miłostkach, do związku trwalszego potrzebował przedmiotu, któryby mógł dogodzić jego miłości własnej, a młody jeszcze i mogący liczyć na siebie, brzydził się pospolitem w podobnych razach u ludzi pieniężnych, uciekaniem się do pośrednictwa tego ciemnego świata kobiet kapiących złotem i szeleszczących materjami, które nie mogąc już handlować sobą, pośredniczą w handlu drugiemi.

Szukał więc sam — i to było przyczyną, że często w różnych godzinach wychodził na przechadzki samotne i szczególną zwracał uwagę na piękne twarzyczki przesuwających się chodnikami Warszawianek, pewny, że gdyby upatrzył coś takiego, czemu nie żal byłoby poświęcić więcej zachodu, nie zbraknie mu pomysłu do zaznajomienia się i dopięcia swojego celu.

Niekiedy w tych wycieczkach za ładną nóżką i zgrabną kibicią zapuszczał się i w dalsze okolice miasta, a nawet zaglądał do takich ustroni jakiemi Ogród Botaniczny lub Park Łazienkowski bywają w dni powszednie, w porannych godzinach.

W jednej z takich przechadzek hrabia Gustaw spostrzegł po raz pierwszy w swem życiu bohaterkę naszej powieści, i *en vrai connaisseur* osądził od jednego rzutu oka, że byle tylko się zgodziła, nie brakło jej żadnej kwalifikacji do zajęcia wakującej posady w jego budżecie i sercu.

— Śliczniutka — mówił do siebie — ubrana gustownie lecz ubogo, jabym ją ubrał jak księżniczkę.... idzie widocznie z matką.... no? mniejsza o to... matki nie zawsze są przeszkodą... zresztą kupić nie kupić, potargować można.

Obrócił się za nią, zatrzymał przez chwilę na chodniku i przypatrywał się postawie i ruchom Natalji, która nie domyślała się bynajmniej jakiego podziwu jest przedmiotem.

— Cacko dziewczyna, daję słowo — prowadził swój myślowy monolog pan hrabia — ale widać nie tak łatwo z nią będzie... żeby się choć ukradkiem obejrzała za mną, filutka... widziała przecież żem się na nią patrzył i jak patrzyłem... kobiety zawsze są ciekawe tych co tak patrzą... skromne dziewczę!... Tem lepiej, takiej mi właśnie było potrzeba... wezmę się do niej.

Machinalnie zaczął iść za Natalją dumając nad pytaniem z trzech głosek tylko złożonem:

— Jak?...

Hrabia Gustaw był doświadczonym człowiekiem, i domyślił się zaraz, że tu natrętne przypuszczenie szturmu mogłoby tylko popsuć jego sprawę. Powtarzał sobie, że trzeba tę rzecz całą pozostawić okolicznościom i czasowi, że o zaznajomieniu się na ulicy nawet myśleć nie było można, że nawet natrętne wpadanie w oczy byłoby całkiem niewłaściwem na pierwszy raz. Potrzeba było jednak dowiedzieć się kto jest nieznajoma i dla tego nie można było spuszczać jej z oka, bo kto wie na jak długo odwlekałaby się może okazja powtórnego jej spotkania.

Szedł więc dalej i doszedł aż do Botanicznego ogrodu, w którego bocznej alei, matka z córką usiadły na ławce i zaczęły jednę z tych pogadanek, do których nigdy między córkami a matkami nie braknie przedmiotu, może dlatego, że pytania i odpowiedzi jak motyle z jednego kwiatka przelatując na drugi, nie wyczerpują nigdy tego co poruszą, aby znów, gdy myśl w też same strony się zwróci, rzeczy sto razy zagadane i nigdy nie wygadane zupełnie na nowy materjał do gawędki służyć mogły.

Pilnie obserwujący je hrabia Gustaw, nie mógł wymódz na sobie, żeby nie przejść kilka razy przez tę aleję, choć takie natychmiastowe rzucanie się w oczy uznawał za niezbyt zręczne.

Za pierwszym razem Natalja widziała go tylko o tyle, ile się widzi jakiś obojętny przedmiot, który się w sposób naturalny przed oczami naszemi przesuwa, kiedy inną myślą zajęci, na świat zewnętrzny żadnej prawie nie zwracamy uwagi.

Córki w takich rozmowach z matkami jaką właśnie prowadziła Natalja, mają zwyczaj robić obserwacje nad przechodzącymi, niekiedy bardzo złośliwe i dowcipne, zwłaszcza gdy przechodzącą jest kobieta, w której stroju coś skrytykować można, niekiedy znów wcale inakszej treści, jeżeli przechodzi mężczyzna.

— Uważała mama — mówi naprzykład jedynaczka w takim wypadku — jaki ten pan co przeszedł podobny do pana Karola...

— Eh! zdaje ci się — odpowiada matka — pan Karol wyższy...

— A twarz mamo...

— Pan Karol ma okrągłą, pucołowatą prawie...

— To prawda mamo... ale oczy...

— Co ci się zdaje!... oczy pan Karol ma czerwone jak królik...

— A ten ma takie ładne, niebieskie...

Tym sposobem od niewinnego porównania z panem Karolem, jednym z ludzi najmniej zakrawających na Antinousa, od porównania, w które sama nie wierzyła zupełnie, córeczka w sposób niepostrzeżony przechodzi do najdokładniejszej analizy rysów i postaci przystojnego przechodnia, w czem jej mama, nie widząc w tem nic niewłaściwego, z całą ochotą wtóruje.

Natalja o czem innem rozmawiała z panią Balską. Poetka, smętna dusza, prawiła swojej rodzicielce o pięknościach i efektach, jakie przedstawiały jej oczom klomby i drzewa ogrodu. Przejście hrabiego Gustawa wcale nie wpłynęło na tok tej poetycznej pogadanki.

Kilka wyrazów Natalji dobiegły do jego ucha i nie padły na grunt bezpłodny.

Hrabia Gustaw niedługo potrzebował zastanawiać się nad niemi, aby scharakteryzować swą nieznajomą.

— Romantyczka... poetka!... — rzekł do siebie — trzeba to zanotować sobie w pamięci.

Niedługo potem, tym razem już bez wymawiania sobie, że postępuje niezbyt zręcznie, przeszedł powtórnie tą samą aleją.

To nowe przejście zwróciło już na niego uwagę Natalji, a hrabia przewidział to widocznie, bo przechodząc przybrał taką minę, takiem spojrzeniem rzucał na piękniejsze grupy drzew i klomby kwiatów, że kiedy przeszedł, panna Balska nie dokończywszy zaczętego patetycznego perjodu, nachyliła się ku matce i rzekła jak najprozaiczniejsza jedynaczka:

— Wie mama... założyłabym się, że ten pan co przeszedł to musi być.....

— Poeta?... — uśmiechnęła się matka.

— Tak... mamo... artysta...

— Po czem że tak sądzisz, moje dziecko?...

— A!... mamo!... czyż mama nie widziała... ma coś takiego marzącego w spojrzeniu.

— Marzącego?... w istocie nie widziałam... chociaż i mnie się zdaje... był jakiś...

— A widzi mama, że i mama spostrzegła... był jakiś marzący, nieprawdaż?...

— Tak moje... dziecko, był jakiś skrzywiony.

Hrabia Gustaw jakby zgadywał jaki zrobił efekt i zapragnął widocznie swojemu artystowstwu dać jakieś jeszcze wyraźniejsze świadectwo. Odszedłszy o dwadzieścia lub trzydzieści kroków, stanął, zapatrzył się w grupę drzew... przypadek chciał, że w tę samą, nad której pięknością unosiła się niedawno Natalja... wydobył pugilares i rzucając co chwila okiem to na drzewo to na białą kartkę swojej notatkowej książeczki, zaczął jakoby rysować z zapałem.

W istocie nakreślił na karteczce kilka kresek, na widok których niktby go nie posądził o zdolność rywalizowania z Calamem, potem złamał mu się ołówek i posunięcia jego po papierze żadnych już nie pozostawiały śladów, ale to nie przeszkodziło mu bynajmniej pozostawać dalej w artystycznej pozie i pilnie manewrować głową i ręką, wybornie naśladując człowieka, co zachwycony ślicznym widokiem pragnie wspomnienie doznanej rozkoszy estetycznej utrwalić dla siebie jak umie.

Podczas tego zajęcia, hrabia Gustaw był ciągle przedmiotem rozmowy Natalji z matką. Jedynaczka niezmiernie zadowolona trafnością swojego domysłu, zaczęła tę gawędkę od prozaicznego:

— A co?... nie powiedziałam mamie?...

I przeszła dalej do szczegółowego rozbioru rysów i postaci mniemanego artysty, zupełnie tak jak to robią niepoetyczne wcale jedynaczki.

Jeszcze hrabia Gustaw nie ukończył swej pracy gdy matka przypomniała Natalji, że czas powracać do domu. Odeszły więc. Mniemany artysta zatopiony w swej pracy nie zwracał niby uwagi na ich odejście, ale na Nowym Świecie panna Balska, obejrzawszy się przypadkowo, spostrzegła go w pewnej odległości i już miała ochotę powiedzieć coś do matki o sympatji dusz marzących, lecz wymówiwszy ledwie pierwszą sylabę, zastanowiła się, że lepiej dać pokój i na co innego skierowała rozmowę.

Tym sposobem dowiedział się o jej mieszkaniu i tego na ten raz było mu dosyć.

Wróciwszy do domu rzekł do służącego:

— Poszlesz mi zaraz kilkoro ludzi po Teleckiego, niech go szukają po bawarjach lub wreszcie gdzie im się podoba, byłem go miał dzisiaj... za godzinę, za dwie najdalej.

— Słucham, jaśnie panie.

— Jeśli się nie trzyma na nogach, kazać wykąpać... rozumiesz.

— Rozumiem... jaśnie...

— No, to ruszaj.

Służący wyszedł a Gustaw, zostawszy sam zasiadł w fotelu, zapalił cygaro i puszczając kłęby dymu zaczął dumać.

Podczas dumania powtarzał od czasu do czasu:

— Cacko dziewczyna!.. nie byłbym sobą gdybym nie dokazał sztuki. (C. d. n.)

OŚWIETLENIE ELEKTRYCZNE.

przez

B. ABAKANOWICZA.

(Dokończenie).

III.

Gdy jedynem źródłem elektryczności na wielką skalę, były potężne baterje elektryczne, złożone z wielkiej ilości elementów, to o praktycznem zastosowaniu światła elektrycznego nie można było myśleć. Koszta utrzymania takiej baterji, odnawianie soli, kwasów i zużytych metali, wynosiłyby zbyt wiele i zaledwie w gabinetach fizycznych do doświadczeń można byłoby je używać. Dopiero, gdy znaleziono sposoby mechanicznego dobywania prądu elektrycznego, gdy zdołano ruch zamienić wprost na elektryczność, to otrzymano tanie i wygodne źródło, o mocy tak wielkiej, jak tylko sobie żądano.

Wszystkie maszyny wytwarzające prąd opierają się na zasadzie indukcji elektrycznej, odkrytej przez wielkiego Faradaja, który wykazał, iż jeżeli do magnesu zbliżymy szybko zwój drutu izolowanego, to w zwoju tym powstanie chwilowy prąd elektryczny. W chwili oddalenia zwoju od magnesu powstaje w nim prąd biegący w przeciwnym kierunku i trwający także tylko jeden moment. Mamy tu przed sobą najprostszy przykład zamiany ruchu, na prąd elektryczny.

Na tej zasadzie zbudowaną jest dotąd jeszcze używana maszynka magnetoelekryczna Nolleta, która znaną jest w przemyśle pod nazwą „Alliance“ z powodu firmy towarzystwa akcyjnego w Paryżu, która się zajmuje eksploatacją patentu.

Budowa maszyn „Alliance“ jest bardzo prostą. Na bębnie cylindrowym obracającym się na stalowej osi umieszczone są zwoje drutów izolowanych, nawiniętych na szpilki. Machina parowa obraca oś wraz z bębnem i szpilkami z wielką szybkością (około 800—900 obrotów na minutę). Podczas obrotu, każda ze szpulek przebiega przed biegunami licznych magnesów umieszczonych naokoło bębna środkowego, a w zwojach drutu wtedy powstają prądy indukcyjne, zbierane zapomocą osobnych przyrządów, które z dwóch punktów, wychodzą po drutach na zewnątrz do użytku.

Jedną z maszyn tego rodzaju kupiłem w Paryżu dla gabinetu naszej szkoły politechnicznej. Funkcjonuje ona wybornie, potrzebuje siły dwóch koni i zapalić za jej pomocą można dwie świece Jabłoczkowa.

Jeszcze bardziej używanemi w ostatnich czasach stały się maszyny Gramme'a oparte na zasadzie podobnej, tylko że zamiast magnesów, używa on elektromagnesów. Nie możemy jednak bez rycin wdawać się w bliższy opis tych machin dynamoelektrycznych, gdyż ich budowa jest nieco skomplikowaną.

IV.

Jednym z najpierwszych warunków wymaganych od każdego rodzaju oświetlenia jest, żebyśmy w niem wszystkie przedmioty widzieć mogli w naturalnem zabarwieniu. A warunkowi temu odpowie ono, jeśli o ile możności będzie zbliżonem do światła dziennego. Używane dotychczas rodzaje świateł, zbliżone są do tego, które nam słońce daje w bardzo odległym stopniu. Natomiast elektryczne, ze wszystkich znanych jest doń najbliższem. Już proste porównanie gołem okiem światła świec, lamp, lub płomienia gazowego, ze światłem elektrycznem, wykazuje ich ogromną różnicę. Ich kolor wydaje się obok białego elektrycznie rozżarzonego węgla żółtym, brudnym i bez blasku. Lecz najlepiej poznamy te różnice, jeśli porównamy oba rodzaje, na drodze analitycznej, rozkładając je na składowe części za pomocą pryzmatu. Jeśli wiązkę promieni światła elektrycznego przepuścimy przez taki pryzmat, to otrzymamy na ekranie widmo w kształcie długiego tęczowo zabarwionego paska posiadającego wszystkie kolory poczynając od czerwonego a kończąc na fioletowym. Białe światło zostało zanalizowane pryzmatem na wszystkie swoje składowe części. Tymczasem wiązka promieni od świec albo od gazu nie daje tak zupełnego widma. Czerwone, pomarańczowe i żółte barwy jaskrawie występują, jednak mniej już jest zielonych, błękitnych, a fioletowych bardzo mało.

Brak ten czuć się daje w zabarwieniu przedmiotów oświetlonych takiem światłem. Barwa powstaje w ten sposób, że gdy na jakieś ciało, np. zielone, pada światło, to wszystkich barw promienie zostają pochłonięte, a odbijają się tylko promienie zielone. Jeżelibyśmy więc oświetlili takie ciało światłem, w którem nie ma promieni zielonych, to wydałoby się ono nam zupełnie czarnem. Na tej zasadzie, fioletowe ubranie, tak traci na swej jaskrawości w oświetleniu lamp, że wydaje się prawie ciemno szarem. Dla tejże przyczyny, tak trudno nieraz odróżnić przy świetle świec, koloru jasno zielonego od jasno niebieskiego.

Tych wad światło elekryczne nie posiada, to też wszystkie przedmioty wyglądają oblane jego promieniami jak w dzień biały, i dlatego używają go z wybornym skutkiem tam gdzie chodzi o to, żeby wieczorem barwy dobrze rozróżniać można było. Z tego powodu zostało ono zaprowadzonem w wielkich magazynach Luwru, gdzie kupujący wieczorem dokładnie kolory jedwabiów, płócien i dywanów ocenić mogą. Również pożytecznem okazało się także oświetlenie w galerjach obrazów, które wieczorem przy zwykłem świetle zwiedzanemi być nie mogły. Światło elekryczne zastępuje zupełnie prawie dzień. Powiadamy prawie, bo i tu jest mała różnica, dotąd jeszcze dosyć uciążliwa, która jednak z czasem da się zapewne usunąć.

Opisując powstawanie światła elektrycznego, powiedzieliśmy, iż pomiędzy obu rozżarzonymi do białości końcami węglów powstaje mały płomyk w kształcie łuku, o fioletowem zabarwieniu, który został nazwany łukiem woltaicznym. Łuk ten nie daje wiele światła, lecz jest przyczyną, że ogólny ton elektrycznego oświetlenia jest fioletowym i dlatego wydaje się ono nam, zanim doń przywykniemy, suchem i ciemnem. W dodatku promienie fioletowe należą właśnie z widzialnych do posiadających najsilniejsze działanie chemiczne, więc też najsilniej działają one na siatkówkę oka i prędko ją męczą.

Na obu krańcach widm po za zwykłemi barwami, są jeszcze promienie, których gołem okiem nie widzimy, które jednak wywołują nieraz bardzo silne działanie fizyczne lub chemiczne. Jeśli rzuciwszy obraz widma słonecznego na ścianę, ustawimy czuły termometr przed czerwonym końcem, w miejscu, w którem okiem nic nie widać, to zobaczymy, iż rtęć w termometrze się podniesie. Tłumaczy się to tem, że w widmie słonecznem są promienie, których nie widzimy, których siatkówka oka odróżnić nie jest w stanie, a o których obecności dowiadujemy się dopiero za pomocą termometru. Bardzo podobnego rodzaju zjawisko znajdujemy po za drugim końcem widma, po za promieniami fioletowemi. Tam są promienie, ktorych także nie widać, ale które z nadzwyczajną siłą chemicznie działają. Przekonamy się o tem najdowodniej, jeśli rzucimy obraz widma na czułą płytę fotograficzną. Otrzymamy wtedy jego wizerunek, daleko wychodzący po za granicę widzialnych okiem promieni fioletowych.

Otóż łuk woltaiczny posiada takich chemicznych promieni bardzo wielki zapas i to jest główną przyczyną, iż światło elektryczne jest nieco męczącem dla oka. Chemiczne promienie rozkładająco działają na zewnętrzną powłokę siatkówki i wytwarzają tam produkty zmęczenia.

Ażeby usunąć tę niedogodność próbowano najrozmaitszych sposobów, lecz dotąd bez zadowalniającego rezultatu. W zwykłem świetle elektrycznem, przy użyciu regulatorów, promienie chemicznie działające występują najsilniej. Mniej ich nieco w świecach Jabłoczkowa, gdyż gips izolujący obie laseczki daje spalając się światło różowe, zmieniające barwę łuku woltaicznego i to do tego stopnia, że gdyby nie nieco baryty dodawanej do gipsu, wywołującej barwę zieloną, równoważącą promienie różowe, to świece te miałyby ich za wiele. Jednak ostatecznie zadanie to nie zostało rozwiązanem i przedstawia ono piękne i lukratywne pole dla poszukiwań wynalazców.

Na podstawie tych przytoczonych wyżej faktów możemy twierdzić, iż ze wszystkich znanych świateł, elektryczne jest najbardziej zbliżone do dziennego i to jedno powinno już wystarczyć do zaprowadzenia go tam, gdzie chodzi o wywołanie na jaw wszystkich barw, w salach pięknie dekorowanych, na balach publicznych, gdzie piękne stroje potrzebują jak najlepszego oświetlenia, w teatrach itp. W ogóle jestto oświetlenie przedewszystkiem zbytkowne. Jeżeliby więc chodziło o zaprowadzenie świetnego, dziennego prawie oświetlenia bez względu na koszta, to nie trudnym byłby wybór. W wielu jednak wypadkach staje temu na przeszkodzie oddawna nabyte przyzwyczajenie do żółtych płomieni gazowych. To też gdy po raz pierwszy oświetlono w Paryżu ulicę „Avenue de l'opera“, to były na razie powszechne narzekania, że światło jest przykrem dla oka. Lecz powoli Paryżanie przywykli do tego i dziś już brzmią wszędzie jednogłośne hymny na cześć nowego światła.

Zaprowadzono je także w teatrze Chatelet i gdy po raz pierwszy dawano przedstawienie, to wszystkie panie przyłączyły się do obozu niechętnych. Stroje obliczone na wieczór, okazywały w białem świetle nieharmonijnie dobrane kolory, a wszystkie kosmetyki, tak powszechnie

tam używane, stały się widocznemi i zmieniły na kolorze, tak twarzyczki wyglądały blado i staro. To też rzeczywiście miały Paryżanki najzupełniejsze prawo do użalania się. W świetle gazowem wytępowały tylko barwy czerwone, pomarańczowe i żółte wyraźnie na jaw, a w elektrycznem zielone, niebieskie i fioletowe sztuczne dodatki do płci, stały się widocznemi. Więc kosmetyki dobre do płomieni gazowych, nie funkcjonowały dobrze w nowem świetle i trzebaby je było zmienić całkowicie.

Ażeby uniknąć narzekań próbowano okrywać płomienie elektryczne nie mleczno-białemi baniami, lecz o zabarwieniu bladoróżowem. Dało to zadowalające rezultaty, chociaż tracono przytem znacznie na sile światła.

Z dekoracjami była podobnego rodzaju sprawa. Wszystkie dawne kulisy musiano przemalowywać. Pociągnęło to za sobą znaczne koszta, lecz w nagrodę za to, żaden teatr nie rozporządza obecnie tak wspaniałemi efektami światła, jak Chatelet. Lecz ze wszystkich najwspanialej jest oświetlony Hippodrom, wielki cyrk, zbudowany w kształcie eliptycznym, na wzór dawnych aren rzymskich. Może on pomieścić dziesięć tysięcy widzów, a arena jest tak rozległą, że gdyby nie elektryczne oświetlenie, to zaledwie można byłoby na drugim końcu dokładnie coś rozeznać. Dziś tam wieczorem tak jasno, jak w dzień biały.

V.

Jest jeszcze jedna zaleta światła elektrycznego, mająca szczególną wagę tam, gdzie się ono używa w salach zamkniętych, i gdzie wielkie pająki gazowe podnosiły temperaturę do niezmiernego stopnia.

Oto światło elektryczne, bardzo mało wywiązuje ciepła, a w dodatku zużywa bardzo nieznaczną ilość tlenu z powietrza i nie zanieczyszcza go szkodliwym do oddychania kwasem węglowym.

Łuk światła elektrycznego posiada najwyższą ze wszystkich znanych na ziemi temperatur. Topią się w nim i ulatniają wszystkie metale. Platyna topnieje jak wosk, a nawet węgiel pokazuje ślady stopienia. Temperaturę, tam się wywiązującą, liczą na 1600 stopni, lecz według wszelkiego prawdopodobienstwa, będzie ona znacznie większą. Jednak cała ilość ciepła zużywa się wewnątrz samego łuku i tylko w bardzo małej ilości wydostaje się ona na zewnątrz. Trzymałem rękę po nad rozpalonemi cztermа świecami Jabłoczkowa, w odległości takiej, w której drzazga drzewna nad płomieniem gazowym by się zapaliła.

Zjawisko to, dziwnie na pozór wyglądające potrzebuje wytłumaczenia. Wróćmy do widma rzuconego przez pryzmat na ścianę. Jeżeli zaczniemy w różnych miejscach tego widma ustawiać termometr, to się przekonamy, że im bardziej się zbliżamy do końca czerwonego, tem ciepła jest więcej, a w okolicach fioletowych nie ma go prawie wcale. Ze zwrotem siły działania chemicznego, zmniejsza się temparatura. Otóż, jeżeli będziemy zagrzewali jakieś ciało, dajmy na to drut platynowy, to rozgrzeje się on naprzód nie wydając żadnego światła. Następnie zacznie świecić barwą wiśniowo-czerwoną. Będzie to pierwszy stopień rozżarzenia. Drut w takim stanie wysyłać będzie na wszystkie strony bardzo silne promienie cieplikowe. Jeżeli go dalej rozgrzewać będziemy, to zacznie świecić jaśniej i będzie przyjmował po kolei wszytkie barwy widma, zbliżając się ku fioletowej. Jednocześnie z coraz większą ilością wysyłanego światła, liczba promieni cieplikowych leżących bliżej czerwonego końca widma, zmniejszy się znacznie i gdy temperatura dojdzie do przeszło 1200 stopni, co już odpowiada barwie fioletowej, tych promieni będzie bardzo mało.

Więc w świetle elektrycznem cała siła elektryczności zużywa się na wytworzenie wielkiej ilości promieni świetlnych, a ilość ciepła jest tak małą, iż nie potrzebuje być wprowadzoną w rachunek. A w dodatku, jak to już wyżej wspomnieliśmy, skład powietrza nie zmienia się prawie wcale.

Dołączmy do tego jeszcze to, że nie ma przy tego rodzaju oświetleniu niebezpieczeństwa pożaru albo eksplozji, to będziemy mieli całkowity obraz korzyści, jakie elektryczne oświetlenie przedstawia.

VI.

O zaprowadzeniu nowego rodzaju oświetlenia decydować będzie wypełnienie warunku taniości. Sprawa to najważniejsza i dlatego zatrzymamy się przy niej przez chwilę.

Przedewszystkiem trzeba odróżnić koszta założenia, zaprowadzenia przyrządów, od kosztów utrzymania. Przedewszystkiem trzeba mieć źródło, któreby wytwarzało prąd elektryczny na wielką skalę. Jabłoczkow używa obecnie, z małymi wyjątkami, maszyn Gramona, o których wspomnieliśmy wyżej. Zwykle łączą się dwie machiny razem, z których jedna daje prąd o stałym kierunku, biegący do drugiej maszyny i służący tam do wywołania potężnych elektromagnesów.

Takie dwie maszyny stanowią, wspólnie z machiną parową, główne koszta założenia oświetlenia elektrycznego. Żeby mieć przykład praktyczny na oku, dajmy na to, że mamy oświetlić jakiś plac publiczny szesnastoma lampami, z których każda równa się co do siły światła stu płomieniom gazowym. Do tego potrzebnemi są dwie maszyny dynamo-elektryczne, kosztujące razem dziesięć tysięcy franków.

Do poruszania tych machin potrzebnym jest motor parowy o sile szesnastu koni. W ogóle liczy się zawsze siła jednego konia parowego na każdą lampę o sile 100 płomieni gazowych. Koszta machin parowych zależą od miejscowości i urządzenia, nie możemy więc ich określić ogólnie, zresztą każdy z łatwością może się o ich cenie dowiedzieć.

Konduktory prowadzące prąd elektryczny do lamp, składają się z kilkunastu cienkich drutów zwiniętych w linwę i otoczonych kauczukiem dla izolacji. Sznur taki ksztuje dwa i pół franka za metr bieżący loco Paryż.

Chcąc mięć koszta całkowite zaprowadzenia, trzeba dodać do podanych wyżej jeszcze koszta kloszów, podstawek do lamp itp. które się zmieniają stosownie do mniej lub więcej zbytkownego urządzenia.

Koszta utrzymania dadzą się w każdym wypadku z wielką łatwością obliczyć. Jedna świeca paląca się przez półtora godziny, kosztuje 75 centymów, lecz cena ta będzie jeszcze bardziej zniżoną, bo fabrykacja węgli sztucznych, prowadzona dotąd na małą stopę, rozwija się obecnie na wielkie rozmiary i od roku ceny już spadły prawie o połowę.

Inne koszta utrzymania, jak np. pędzenia machiny parowej, obliczają się według miejscowych stosunków.

LEONARD CHODŹKO

I JEGO PRACE

KRÓTKI RYS BJOGRAFICZNY I NAUKOWY.

Skreślony przez

ALEKSANDRA WERNICKIEGO.*)

I.

Nie od dziś dnia znana rzeczypospolitej rodzina Chodźków, obecnie zaś niejeden cudzoziemiec o niej zasłyszał, a *Grand dictionnaire universel des XIX. siecle* zamieścił jej opisem kilka szpalt bardzo drobnego druku. Według ostatniego jako Boreykowie znani byli praojcowie Chodźków w Litwie Lutuwera czy Litwara w końcu 13 wieku, a Witenes za wyratowanie jego życia w bitwie z Teutonami Boreykę nazwał *Chodźką*. Wedle herbarzy od Chodźków przy Jagielle poszli Chodkiewicze i t. d. Niech ciekawi szukają tej genealogji i czynów rodzin powstałych z Boreyków, dla mnie dość, że jej okazy wzmiankują i w bitwach nad Worsklą, pod Kirchholmem i t. d. Za wiele już wieków ubiegło od tego czasu bym zechciał sprawdzać lub też nie wierzył podaniom. Ale gdyby nawet od tak dawna do podań narodowych, do herbarzy itd. imię rodziny tej się i nie zakradło, przeto nie mniej byłaby zasłużoną. W rzeczypospolitej szaraki nasze leli krew razem ze szkarłatami i z ciurami obozowymi, równa im cześć, jeśli szli za sprawę świętą, choć nie większa od stale pracującego z lemieszem.

Lecz od przeszłego wieku co raz częściej występują Chodźkowie w literaturze i w ciągu stu lat dziesięciu ich się odznacza. Ignacy Chodźko (1720†1792) jezuita, po zniesieniu zakonu rektor kolegjum w Żodziszkach i kanonik Smoleński, jeszcze w 1774 wydał w Wilnie tłumaczenia bajek Fedra na polski i francuski język.

Synowiec jego *Jan Chodźko* (ur. 1776†1851) za czasów wileńskiej wszechnicy zasłynął po Litwie jako pierwszy pisarz ludowy. Pisemka *Jana ze Swisłoczy* znał każdy po zaściankach, a część tych pism wyszła później w zbiorze 12 tomikowym w 1837. Jan ze Swisłoczy długo był marszalkiem mińskim.

W czasie przejścia wojsk Napoleońskich oparł się on spaleniu przez Moskali zapasów zbożowych w Mińsku. I jakoś w tym czasie ogłosił okolicznościowy dramat wierszem: *Przejście przez Niemen,* albo wyzwolenie Litwy. Ówczesne usposobienie narodu chciwie chwytało tę niewielkiej wartości sztukę i była ona przedstawianą na wszystkich teatrach polskich. Z odwrotem Francuzów i p. Jan musiał również z kraju uchodzić. I zaledwie po amnestji ogólnej wydanej przez cesarza Aleksandra I. powrócił do własnej zagrody. Litwa cała pod tę porę była pokryta mnostwem loż masońskich, przynoszących wtedy jak najznakomitsze usługi krajowi. Pod tchnieniem ich powstawały towarzystwa naukowe i badaczy przyrody; członkowie ich najczynniej się krzątali nad dobrobytem materjalnym ludu i jego usamowolnieniem umysłowem.

Pozornie wierno-poddańczy, z biustem cara w każdej sali, masoni ówcześni światłem zabijali wszelki despotyzm. Sam car do nich należał, mogli zatem pracować usilnie i bezkarnie. W cieniu

*) Pracy tej dokonał sp. Aleksander Wernicki w 1870 roku razem z Leonardem Chodźką, co nadaje jej szczególną wagę, wiadomo bowiem że Chodźko posiadał najbogatszy materjał historyczny do dziejów emigracji. *Przyp. red.*

tych zgromadzeń wykwitała, dojrzała myśl narodowa i dzielniejsi wytworzyli polskie *towarzystwo patrjotyczne.* Jedną z wybitniejszych jednostek na Litwie był Jan ze Swisłoczy. To też gdy po kongresie wiedeńskim w Aleksandrze zaszedł ten sławny zwrot ku mistycyzmowi i poniszczono wszelkie loże masońskie, a ciemnota zalegać poczynała, prześladowcy mimowolnie musieli zwrócić uwagę na niego i chociaż nie posiadali żadnego dowodu, nie zaniechali jednak wysłać go na wygnanie i pięcioletnie więzienie. To złamało Chodźkę. Już listopadowe powstanie nie zastało go dość silnym, by wystąpić na czele prowincji, jak za czasów Napoleońskich. Co jednak nie przeszkodziło Moskalom wywieść jakby zakładnika starszego syna Władysława w głąb kraju i nie puścić w rodzicielskie progi aż do 1834.

Powstanie listopadowe obeszło się zatem bez udziału tej rodziny, boi w kraju nie pozostawali synowie Jana. Jeden z nich, Józef ur. 1800 matematyk i inżynier zabrany w moskiewską służbę kierował częścią topograficzną pomiarów Moskwy i Kaukazu.

Drugi Aleksander Edmund ur. 1804 dziś zastępca profesora w *College de France* w Paryżu. Moskwa i tego wzięła pod swą opiekę. Oddawał się on nauce języków wschodnich w Wilnie i znaczne robił postępy. Już 1829 wysłał go najazd do Persji, jako drogmana przy poselstwie, a później jako konsula. Gdzie bez ustanku pozostawał do 1841. Do Francji jednak były konsul przyjechał później. Dopiero po powrocie ze Wschodu, zaczyna się jego naukowa karjera. Jeszcze będąc w Persji wydał w Petersburgu: *polskie poezje* (1830) i zdaje się jest to jedyne dziełko, którem się ojczystej mowie przysłużył. Odtąd bowiem już pracował nad Wschodem i dla cudzoziemców. Wpływając chyba na rodaków nielicznych, zwabionych na bardzo nieszczególne wykłady literatur słowiańskich.

Oto szereg jednak tych prac obcych naszemu społeczeństwu, chociaż im zasług odmówić poniekąd nie podobna: *Specimens of the popular poetry of Persia, as found in the adventures and improvisations of Kurroglou; the Baudet ministrel of Northern Persia* (London 1842), a dalej idą już prace francuskie: *De l'élève des vers à soie en Perse* (Paris 1843) O hodowli jedwabników w Persji; *le théatre en Perse* (Paris 1845) O teatrze perskim; *Guilan ou les Marais Kaspiens* (Paris 1851) Guilan albo bagna Kaspijskie; *Excursions aux Pyles kaspiennes* (Paris 1851) Wycieczka do Pylon Kaspijskich; *Khoraçan et sou hèros populaire Buniad-Hezzaré* (Paris 1852) Chorazan i jego bohater dawny Buniad-Hezzaré; *Deçati ou Code religieu des Mahabadiens* (Paris 1852) Desati albo kodeks religijny Mahabeidczyków; *Grammaire Persane ou principes de l'iranien moderne, accompagnés de facsimile pour servire de modèl d'ecriture et de style pour la correspondance diplomatique et familière* (Paris 1852) Gramatyka Perska albo zasady nowożytnego iranu, z facsimilami służącemi za wzory pisma i stylu dla korespondencji dyplomatycznych i rodzinnych; *le Drogman turc, donnaut les mots et les phrases les plus nécessaires pour la conversation*, vademecum *indispensable à l'armée d'Orient* (Paris, 1855). Drogoman turecki dający słowa i frazy najkonieczniejsze dla rozmowy, vade-mecum konieczne dla armji wschodniej; *Repertoire du théâtre persan* (Paris 1856) Repertoar teatru perskiego; *Redacteur iránien* (Paris 1857) Redaktor irański; *De la lithographie en Perse* (Paris 1857) O litogtafji w Persji. Obszerny ten spis wykazuje prace i pole działalności profesora literatur słowiańskich. Czemuż on nie jest prof. piśmiennictwa Perskiego? Objaśni nam żywot Leonarda Chodźki, a teraz dodamy, że Aleksander w 1865 wydał jeszcze *Chants populaires slaves* po kilkonastoletniem pełnieniu obowiązku *chargé des cours* w College de France.

Po nim idzie *Michał Chodźko* ur. 1807, dziś ociemniały poeta, tłumacz z angielskiego i niemieckiego na polski. Znany całemu wychodźtwu z prac swoich jako współpracownik licznych pism, redaktor *Polaka.* Jego poemat znacznych rozmiarów wkrótce druk opuszcza. Nie teraz więc będę o nim mówić obszernie.

Ostatni zaś z braci *Stanisław* ur. 1811, również emigrant we Francji osiadły, chemik i farmaceuta znany z wynalazku różnych proszków do użyźniania pól i gruntów nieurodzajnych, posiadacz znacznej fabryki pudrety.

Te kilka suchych szczegółów wykazują nam działalność jednej gałęzi rodziny Chodźków. Ale po za nią są jeszcze dwie inne, a każda posiada jedną z wybitniejszych gwiazd na widnokręgu piśmiennictwa naszego.

Jedna z nich posiada znanego powszechnie w całej Polsce autora *Obrazów Litewskich.* Wszak niedawno jeszcze każdy literat, każdy choćby głośniejszy pisarz, liczył sobie za obowiązek zjechać choć na czas krótki do Dziewiętni do pana Ignacego, a w gawędce przy kominku mile spędzić chwil kilka z tym pełnym humoru pisarzem. Autor obrazów litewskich był synem Antoniego i żył od 1795 do 1861. Brał on udział jeszcze w wydawnictwie *Brukowych wiadomości.* Zresztą Ignacy Chodźko tak jest powszechnie znany, jego prace tak przychylnie oceniane i tylekrotnie, że może i bezużytecznie byłoby dodawać cośkolwiek nad polecenie bliższego poznania pism tego autora z pod zaboru moskiewskiego.

Do tych Chodźków należy policzyć i Dominika ur. 1798 † 1863, znanego z ogłaszanych życiorysów i z tłumaczeń kilku dzieł z angielskiego, niemieckiego i moskiewskiego. Był on zarazem dziennikarzem.

Do drugiej gałęzi należy Leonard, którego życiorys zamierzam skreślić. Ojciec jego *Ludwik* ur. 1769, zmarł 1843. Pisywał on różne ulotne wierszyki i miał wziętość w kole współobywateli. Już w czasie sejmu grodzieńskiego 1793 wybrano go posłem. Młody poseł mimowolnie musiał przylgnąć do części patryotyczniejszej i gorąco ją popierać. Zatem sprzeciwiał się podziałowi państwa lub też oderwania choćby jednej prowincji. Na posiedzeniu 2. września 1793 zakończył on swą mowę tymi wymownymi wyrazy: „Przemoc dosięgła do ostatecznych swych granic znajdując nas porzuconych przez wszystkich i myśmy absolutnie powinni zadość uczynić nienasyconej ambicji króla Pruskiego. Dobrze więc! Dajmy mu tej polskiej ziemi, o którą się tak usilnie dobija, lecz dajmy jej tylko sześć stóp kwadratowych, to jest tyle ile potrzeba dla niego na grób. Ten kawałek ziemi pozostawiony dla jednego z naszych zaborców w przyszłe wieki będzie świadectwem odwiecznej i tradycyjnej polskiej gościnności. Powiedzą, że nie chcieliśmy odmówić najezdzcy naszej ojczyzny ostatniego dlań przytułku! Takie zgodzenie się będzie również dowodem naszej statecznej opozycji przeciwko wszystkim gwałtom dopełnionym na naszym niewinnym narodzie.“

To wystąpienie nie mogło być miłem dla zaborców, samowładnie nadużywających prawo państwowe. Mowcę ochroniło bliskie już powstanie Kościuszkowskie. I rzeczywiście, jak tylko *Jasiński* zebrał oddział na Litwie, wnet do'ń się przyłączył i poseł. Wkrótce jednak raniono go i wzięto do niewoli. Wymieniony za oficera moskiewskiego Chodźko powrócił w progi domowe. A później nawet po ostatnim rozbiorze sprawował różne urzęda cywilne, był sędzią, a od 1822 marszałkiem powiatu Zawilejskiego w guber. wileńskiej.

Chodźkowie zatem, jak to widzieliśmy w końcu przeszłego wieku i w początkach obecnego, mieli znaczny wpływ na Litwie. Nowogrodzkie i część dawnego Wileńskiego jakby skupiało się koło nich. W takiem wyjątkowem położeniu i działa musiała zawczasu wdrażać się w życie polityczne narodu, a przynajmniej nie być mu obcą. Wpływu Jana ze Swisłoczy nie można było lekceważyć, lecz i same wypadki i przyspieszone pulsacje narodu bez śladu nie mogły przelatywać.

(C. d. n.)

MAGJA I NAUKA.

(Ciąg dalszy).

X.

Fizjognomika.

Powiadają, że Sokrates, którego Zopyrus miał zachęcić do studjowania fizjognomiki, przepowiedział Alcybiadesowi wyniesienie do najwyższych godności, obserwując wyraz ambicji i inteligencji uwydatniony na jego twarzy.

Inny fizjognomista miał przepowiedzieć, porównywując twarze Tytusa i Brittanika, że pierwszy a nie drugi tron zdobędzie.

Z nowszych czasów mamy także kilka podobnych przykładów:

Ksiądz Pernetty, współzawodnik Lavatera i autor zajmującego dzieła pt. „Versuch einer Pbysiognomik, oder Erklaerunng des moralischen Menschen durch die Kenntniss des physischen. Drezden 1784“, opowiada, że będąc raz w Paryżu u p. de Langes, poznał tamże niejakiego p. Kubisse, fizjognomistę. „Ten, wszedłszy do sali zawieszonej obrazami, stanął nagle przed jednym z nich i zaczął mu się przypatrywać z niespodzianem zdumieniem. Goście przeszli do dalszych pokojów, a gdy Kubisse po upływie kwadransu nie mógł się jeszcze oderwać od obrazu, p. de Langes zapytał go co o nim sądzi i czy może zaprzeczyć piękności przedstawionej w nim kobiety? — Tak, odrzekł Kubisse, jest piękną niezaprzeczenie, jeśli jednak portret dobrze naturę odtwarza, to kobieta ta musi posiadać najszkaradniejszy charakter i należeć do najwstrętniejszych istot na świecie.“

Był to portret sławnej trucicielki pani de Brinvilliers, która później skończyła na rusztowaniu.

Podobne fakta opowiadają o Lavaterze i o pannie Lenormand, która niewątpliwie więcej wróżyła z twarzy, niż z kart.

Czy może być w tych faktach jaka podstawa rzeczywista?

Czemużby nie! Wszakże przyszłość człowieka bardzo często zależy prawie wyłącznie od jego charakteru, a charakter musi się odbijać w rysach. Nic w organizmie nie dzieje się bez przyczyny; każde wrażenie, każde uczucie pozostawia ślad swój w wyrazie twarzy, a suma tych wyrazów przez życie powtarzanych kształtuje rysy. Człowiek gwałtowny inaczej wygląda niż potulny, rozumny inaczej niż głupi, szczery inaczej niż fałszywy; a sama ró-

żność przyoblekania sztuką na chwilę udanej miny, i oszukiwania w ten sposób łatwowiernych świadczy, iż uznajemy stale związek pomiędzy charakterem a zewnętrznymi jego objawami.

Oczywiście naraziłby się na śmieszność najbieglejszy fizjognomista, któryby chciał każdemu człowiekowi, nie znając przyszłych warunków jego życia, los, który go czeka, przepowiedzieć. Bo naturalnie los ten zależy w znacznym stopniu od przypadkowych okoliczności. Używając jednak wyrazu *przypadkowy*, musimy się porozumieć co do jego znaczenia.

Człowiek, którego dachówka spadła z dachu zabija przy przejściu przez ulicę, ginie śmiercią przypadkową i żadne towarzystwo ubezpieczeń nie może co do takiego wypadku czynić zastrzeżeń. Ale w gruncie rzeczy, nic tu nie stało się wbrew ogólnej prawidłowości zjawisk. Fizyk, któryby znał dokładnie wagę i sposób przyczepienia tej dachówki, mógłby łatwo obliczyć kiedy ona spadnie sama przez się, lub jakiej siły potrzeba, ażeby ten spadek przyspieszyć. Meteorolog, któryby znał dokładnie zmiany zachodzące w atmosferze, mógłby równie ściśle obliczyć, kiedy ta siła, pod postacią wiatru przyjmie w danej miejscowości kierunek potrzebny do zrzucenia dachówki. Z innej strony psycholog i fizjolog znający dokładnie myśli ożywiające człowieka i nałogi jego mięśni, a nadto pobudki, na jakie w drodze natrafi, mogliby również dobrze przepowiedzieć, że człowiek ten, o tej a o tej minucie znajdzie się w tem a nie innem miejscu, a nadto, że ponieważ prawa spadku ciał sprawią, że dachówka uderzy w najsłabsze miejsce skroni, że więc uderzenie będzie dla przechodzącego śmiertelnem.

To wszystko jest *teoretycznie* możliwem — a jeżeli nie jest możliwem i *praktycznie*, to tylko dlatego, że przypuszczana wyżej bezwzględna znajomość uprzednich warunków, jest niepodobną do osiągnienia.

Jednakże, gdy te warunki są mniej zawiłe, przewidywanie może być prawie pewnem a przynajmniej prawdopodobnem.

Ileż to razy lekarz znający ogólną statystykę chronicznych chorób przepowiada trafnie śmierć suchotnika, albo nawet śmiertelny atak apopleksji. Podobnież człowiek znający lekkomyślny charakter danej osobistości i widząc, że się bierze do ryzykownego przedsięwzięcia, może łatwo przepowiedzieć jej bankructwo. Wytrawny nauczyciel rzadko się myli co do przyszłości swoich uczniów, a sędzia który przegląda życiorys podsądnego, nie wątpi, iż gdyby go znał równie dobrze przed tem, byłby mu niechybną przyszłość przepowiedział.

O ile więc rozwój głowy, rysy twarzy, postawa, głos i giesta zdradzają zdolności, charakter i temparament człowieka i o ile te warunki są głównym czynnikiem w jego życiu, o tyle biegły fizjognomista może przepowiadać przyszłość.

Nierównie zaś więcej powiedzieć może o teraźniejszości.

Głowa mająca mniej niż 20 cali odwodu nigdy nie należała do osobistości wybitnej inteligencją, chociaż znowu wielki rozmiar czaszki może pochodzić tylko z przyczyn patologicznych, np. z wodnej puchliny.

Żaden fizjognomista nie omyli się, gdy mu damy do rozdziału 10 dokładnych portretów ludzi genialnych i 10 portretów głupców. Twarzy i wyrazu Bismarcka nie będzie miał nigdy człowiek słabej woli, o mglistych oczach i w tył cofniętej brodzie. W przymrożonych oczach Talleyranda, Gorczakowa lub Beksa jenerała jezuitów któż nie odkryje tej samej przebiegłości i skrytości połączonej z ironicznym układem ust? Któż nie zauważył bystrego wzroku na portretach wielkich malarzy? Kto nie odróżni z fotografji Offenbacha od Sehumanna? Szerokie czoła Wilhelmiego i Joachima zdradzają artystów przedewszystkiem *uczuciowych*, tak jak szerokie czoło Jul. Favre'a zdradza uczuciowego polityka. Ludwik XIV, XV, XVI i XVIII, noszą na swych twarzach wypisane własne swe dzieje. Twarze romantyków niemieckich różnią się od twarzy dzisiejszych francuskich realistów i naturalistów w poezji, tak jak ich szkoły. Nawet twarze kobiece, trudniejsze w ogóle do analizy z przyczyny przeciętnej chaotyczności ich charaktarów, dadzą się ocenić dokładnie, jeśli tylko jest co pod niemi do oceny. Zestawmy np. dwa portrety: pani de Barry i Elizy Bonaparte. Obie odegrały role historyczne, obie musiały władać umysłami, to też znać, że nie są to twarze pospolite; ale jakaż olbrzymia różnica w rysach i wyrazie twarzy! Z jednej strony lekkość i zalotność obok dystynkcji — z drugiej dystynkcja obok powagi i godności — tam spryt, tu rozum, tam zuchwalstwo kobiece, tu pewna siebie prawdziwie *męzka* energja.

Prawda, że od tych szczegółowych spostrzeżeń do nauki ścisłej daleko jeszcze, ale nie widzę racji dlaczego fizjognomika nie miałaby *z czasem* stać się nauką, tracąc kuglarskie swe cechy. (C. d. n.)

Nie skarz się serce!...

Nie skarz się serce! Nie skarz! Nie bolej!
Troski, strapienia,
Zwykła to przecież, powszednia kolej,
A treść istnienia.
Im kto tu lepszy, tem cierpi więcej,
Nie dziw, dlatego,
Iż się ku dobru szarpał goręcej,
Wstrętniej, od złego.
Iż ideałów swoich cacanki.
W pyle dziś, w prochu,
Rozwieszał wyżej, niźli zachcianki
Płaskie, motłochu,
Iż kiedy przyszło rozczarowanie,
Zanadto wcześnie,
Z większej wyżyny w głębsze otchłanie
Stoczył się we śnie!

Nie skarz się serce! Nie skarz! Nie bolej!
Troski, strapienia,
Nader powszednia, zwykła to kolej,
A treść istnienia:
Kto cierpieć nie chce, kto przed łzą w strachu,
Niech się zamyka!
Niechaj egoizm u drzwi odwachu,
Ma za celnika.
Niech się jak ognia, wszech uczuć strzeże,
W każdem z nich brzemię!
Niech, jak sam sobie wymościł leże,
Niech tak i drzemie.
Bez rajskich widzeń, ach! bez jedynej,
W marach obrazu
Drzemką ostrygi, drzemką rośliny,
Martwym snem głazu!

Nie skarz się serce! Nie skarz! Nie bolej!
Troski, strapienia,
Nieunikniona, zwykła to kolej,
A treść istnienia.
Tajnego przeczuć słuchając głosu
Twierdzę bez sromu:
Że ty nie zdolne takiego losu
Zajrzeć nikomu,
Że cię nie znęci ten spokój trupi,
Ten byt w letargu,
Których nikt serce taniej nie kupi,
Na życia targu,
Jak gwałcąc w sobie polot niebieski
Ducha warchoła,
Jak chyba godność człeczą do kreski
Ścierając z czoła!

Nie skarz się serce! Nie skarz! Nie bolej!
Troski, strapienia,
Jak świat to stara, niezbędna, kolej,
A treść istnienia.
Wstecz się oglądnij! W przeszłość minioną,
W wczoraj za mgłami,
Wieleś mi razy wzdymało łono
Żądz westchnieniami?
Wieleś mi razy, u kolan lubej,
Uczuć twych Pani,
Szeptało: „Wszystkie przyjmuję próby!
Byleby dla niej?!"
Wieleś mi razy, za kraj, za prawo,
Rwąc się w bój rzutko
Krtań rozdzierało ognistą, żwawą,
Ojców pobudką?

Nie skarz się serce! Nie skarz! Nie bolej!
Troski, strapienia,
Wspólna to wszystkim, jednaka kolej,
A treść istnienia.
Przeszły te czasy, przeszły zapewne,
Już nie powrócą!
Zostały po nich wspomnienia rzewne,
Wciąż w duszy nucą!
Przyszły te próby, przyszły, zbyt skoro,
Jędza za jędzą
Siadły na piersiach posępną zmorą,
Wciąż sen z ócz pędzą!
Bój ten zakipiał, wściekły, śmiertelny
Wróg nie przebacza!
Nie jeden pocisk z rąk jego, celny,
Wciąż krew wytacza!

Nie skarz się serce! Nie skarz! Nie bolej!
Troski, strapienia.
Komuż to obca, nieznana kolej,
A treść istnienia?
Gdyby Bóg dobry z pod praw natury,
Los twój wyzwolił,
I nurtom chwil twych, nazad do góry,
Płynąć pozwolił,
To nowy bytu wszczynając wątek
Serce aż miło,
W ten byś, co wprzódy wrażeń kipiątek,
Znów się rzuciło!
Przez tychże szałów odmęt wzburzony,
Przez błędy, chucie,
Ku tej, co dzisiaj, ku zasłużonej,
Dążąc pokucie!

Nie skarz się zatem, serce! Nie bolej!
Troski, strapienia,
Stara to, zwykła, powszednia kolej,
A treść istnienia!

Paryż, d. 5. grudnia 1878.

J. S. Chamiec.

UKRYTE SKARBY

POWIEŚĆ
SALWATORA FARINA
przekład
A. CALLIER.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ X.

Co myśli Gabriella.

I następnego dnia również zjawił się Federico w domu doktora, by, jak mówił zejść się z kochanym Eneą, którego chciał zaprosić na odwiedzenie wykopalisk w swym majątku nad jeziorem Puziano. W miejsce oczekiwanego skarbu z czasu napoleońskich wojen, codzień wykopują tam ogromną moc starych garnków, niestety wszakże najzupełniej próżnych.

— Dla tego poczciwego inżyniera — mówił on, dość będzie prawdopodobnie rzucić tylko okiem, by módz z wszelką oznaczyć pewnością, do jakiego rodzaju kuchni naczynia te należy zaliczyć, gdy tymczasem kucharze okoliczni daremnie wysilaliby sobie głową na rozwiązanie tej kwestji. Pozór był dobrze wybrany, i Gabriella nie byłaby miała mu nic do zarzucenia, gdyby pan Federico nie był przyszedł o całe dwie godziny wcześniej niż przychodził zwykle inżynier.

Silnie była przekonaną, że odwiedziny te ją tylko, ją wyłącznie, miały na celu. Cóż on mógł chcieć jej powiedzieć? Prawdopodobnie jakąś złośliwość w grzecznej formie.

Postanowiła też milczeć jak ryba, by mu pokrzyżować plany.

— Pan więc szukasz skarbu? — spytał straszliwy doktor Rocco głosem słodkim, dziwnie przypominającym zamaskowaną baterję; — jestże to przynajmniej jakiś wielki skarb?

— Nie — odpowiedział Federico — dość mały.

Doktor rzucił porozumiewające spojrzenie na córkę, która, jak się zdawało, zamyślona była o czem innem, jakby jej chciał powiedzieć: Uważaj tylko jak ja mu tu porządnie zmyję głowę! potem mówił dalej.

— Pan więc tracisz czas na takie drobnostki? Czy pan nie wiesz...

— Przebacz pan — przerwał mu Federico — i cóż jabym lepszego mógł zrobić z moim czasem? Gdyby co dnia kilka godzin czasu można było zgubić jak jakiś przedmiot, wypadający nam z kieszeni, czy sądzisz pan, iż znalazłoby się wielu, coby się schylili, by go podnieść?

— Pewnie, że z was żaden, moi panowie— przerwała spiesznie Gabriella; gdy przecież, spostrzegła, że na ustach młodego człowieka ukazał się uśmiech zadowolenia, dodała już mniej porywczo: — są przecież na tym świecie ludzie, dla których dnie zawsze zbyt krótkiemi są jeszcze.

— Szczęśliwcy! — zawołał Federico i nie dodał już nic więcej; spostrzegł on był od razu zamiar Gabrielli oszańcowania się milczeniem, i czuł coś w rodzaju zadośćuczynienia, że mu się udało zamiar ten przełamać.

Młoda dziewczyna pragnęła gorąco podjąć na nowo zerwaną nić rozmowy, by jej nie dozwolić upaść; ale była ona już uciętą.

Wiedziała dobrze, że to było fałszywą taktyką, że ośmielała tylko przeciwnika, ale pokusa była zbyt wielką; rozpoczęła już i trzeba było prowadzić rzecz dalej do końca.

— Jeśli mówię: „żaden z was, moi panowie“, to naturalnie wyjmuję z tej liczby pana Federica; jestem przekonaną, że pan nie należysz do liczby owych ludzi, którzy uważają sobie za szczęście, jeśli im się uda spędzić dwie godziny bez spojrzenia w tym czasie na zegarek.

— Daruj pani — odparł z cicha Federico, ja w rzeczy samej należę do ich liczby. Alboż robotnik, co pracuje w pocie czoła, nie czuje się szczęśliwym, gdy widzi po za sobą taki dzień krwawego znoju? Nie nudziż się czasami także szanowny ojciec pani? A pani sama, czyż nie bywasz częstokroć wdzięczną jakiejś zajmującej powieści, że ci skróciła wlokące się nieskończenie popołudniowe godziny?

Teraz wmięszał się doktor Rocco.

— Stój pan — mruknął gniewnie — zostaw, proszę, w spokoju „szanownego ojca pani“ z jego podagrą, okaleczałą ręką i chorobą mlecza. Nudy stworzone są dla ludzi zdrowych; ja nie nudzę się nigdy; ja wiem, że jestem celem do pocików boskiego gniewu i spełniam rolę moją bez szemrania. Co do Gabrielli...

— Gdy robotnik ma po za sobą dzień znojny — przerwała żywo młoda dziewczyna — radością jego jedyną jest ta myśl, że spełnił obowiązek, że zapewnił kawałek chleba rodzinie.

— I to wprawdzie jest pociechą — zaśmiał się Federico—ale nie wszystkim jest dano być ojcami rodzin.

— Powiedz pan lepiej, że nie wszyscy chcą być nimi; rodzina domaga się miłości, a ludzie, którzy się nudzą, nie są zdolni do miłości.

— Doprawdy? — odparł Federico — jakże to pani uzasadnisz?

— Nudy są tylko jedną z form egoizmu.

— Rzeczywiście?

— Bez wątpienia! Twarde musi mieć serce ten, co nie pracuje, gdy co krok spotyka się z gorzką nędzą; kto nie kocha, gdy tyle westchnień tak wielu nieszczęśliwych dobiega jego ucha. Kto pracuje i kocha ten nie nudzi się nigdy.

— Wielka prawda.

— A z tego wnioskiem, że ten kto się nudzi nie jest zdolnym do miłości.

— Wniosek jest fałszywym, łaskawa pani.

— Pan Federico ma słuszność — wtrąciła mama Tranquillina, w milczeniu dotąd przysłuchująca się rozmowie; — lepiejbyś, moja córeczko, nie rozsnuwała tak daleko twych myśli; chcesz być sprawiedliwą, ale wychodzisz po za cel i stajesz się uprzedzoną.

Gabriela nie wzięła zbytnio do serca słów matki, ale zaśmiała się i odrzuciła.

— Może to być prawdą, ale ja przecież wyrażam tylko moje mniemanie; ci panowie w klubie, z wyjątkiem pana Federica, być może w swych mniemaniach mniej okazują uprzedzeń, ponieważ, nie myśląc nigdy prawdopodobnie żadnych nie mają mniemań. Ci znudzeni panowie są jak duże dzieci. Wiesz mateczko, co mi oni przypominają, gdy tak poglądają na zegarek i poziewając mówią: Dzięki Bogu, przeszła już przynajmniej jedna godzina!?

— No, cóż to przypominają oni pani? — spytał Federico z sarkazmem.

— Studencików ciskających w górę czapki i wołających radośnie: „Chwała Bogu, nauczyciel chory, mamy rekreację!“

Federico pochylił głowę z szyderczym uśmiechem i przez chwilę tak pozostał, jakby zatopiony w myślach; potem rzekł:

— Chory nauczyciel oznacza prawdopodobnie stracony na próżniactwie czas... nieprawdaż? to porównanie podoba mi się. Skoro już w tym wieku mówisz pani tak filozoficznie, cóż to z czasem będzie z pani?

Gabriella dostrzegła żądła szyderstwa, tkwiącego w jego słowach, wszelka odpowiedź wszakże została jej odciętą, bo młody człowiek powstał nagle i pożegnał się pod jakimś pozorem.

— Co ten próżniak mógł tu chcieć u nas?— rzekł doktor. Ta historja o wykopaliskach najpewniej była tylko pozorem...

Nikt nic nie odpowiedział, a on ciągnął dalej:

— Ale niechaj sobie będzie po sto razy próżniakiem, nie wiem, co to jest ale mnie w jego obecności... słowem on mi się podoba.

Gabriella zaś pomyślała:

— Historja wykopalisk była tylko pozorem; pocóż więc przyszedł?... Jestem mu solą w oku, dobrze to widzę; prawdopodobnie ukuty już plan zemsty miał w zanadrzu, nie mógł go tylko przyprowadzić do skutku... Jak się też na mnie pomści? Może swą tajemniczą nieznajomą, albo którą inną. Ah! cóż mnie obchodzi ta lub wszystkie inne!

ROZDZIAŁ XI.

Nieznajoma w trzech osobach.

— Nie znajdujesz nigdzie *t?* — pytał Romolo, przechodząc się po pokoju.

— W całem zdaniu ani jednego *t*, — odpowiedział Gioachino — rzecz niemal niemożliwa, żeby ktoś mógł całe zdanie bez jednego *t* napisać! Ale ci dziennikarze, czegoż oni nie dokażą!.. No, wreszcie jest!... A otóż i reszta... Teraz dalej.

Romolo dyktował:

„Ah, gdyby mój drogi Federico mógł wiedzieć, jak bardzo tęskniłam za nim ostatniego wtorku!“

— To już mam, dalej!

— „Mój zazdrosny mąż nie pozwolił mi tego dnia być na balu, ale ja wciąż myślałam o tobie tylko i powtarzałam sobie: W tej chwili on wchodzi na salę balową. Teraz cię szuka! i paliła mnie szalona zazdrość na myśl o wszystkich tych pięknych kobietach, obecnych na balu. Kto wie, możeś sądził żeś mnie znalazł i gniewasz się teraz, że to była omyłka, może żałujesz, że tamta nie mną?... Straszna myśl! O! czemuż ja tej masce, co mnie tak dławi i tłoczy, zawdzięczać muszę jedyne szczęście mego pozornie błyszczącego a wewnątrz tak pustego życia, możność powiedzenia ci bez żalu i wstydu: o mój Federico, ja cię kocham!“

Romolo skończywszy dyktowanie wybuchnął wesołym śmiechem.

Gioachino spiesznie dobierał liter:

— Federico, ja... cię... kocham... Tak, to byśmy już skończyli!

A teraz i on zaśmiał się głośno.

— Bravissimo! — zawołał — dokazałeś mistrzowskiego dzieła, ja ci to mówię.

A gdy *on* to mówił, nie mogło pozostać ni cienia wątpliwości; że zaś *to* mówił, było z jego strony czynem prawdziwie wspaniałomyślnym, bo pochwycił sposobność zrzeczenia się swego udziału w sławie na rzecz przyjaciela.

Nie potrzeba powiadać tu bowiem, że jemu, jedynie tylko jemu, Gioachinowi, przyszła myśl

pisania w ten sposób do Federica; a nie był to bynajmniej pomysł tak prosty, przeciwnie wymagał on kombinacji i subtelności, przyznawał to sam Gioachino nawet, jakkolwiek skromność nie dozwalała mu zbyt podnosić jego wartości.

— Powiadam ci, żeś dokonał prawdziwego arcydzieła, ale teraz powiedz mi czemu nasza nieznajoma opowiada, że nie była na balu...

— Przedewszystkiem — odpowiedział Romolo uśmiechając się—ponieważ żadną miarą nie możemy mieć pewności czy Federico tam poszedł lub nie, a wobec takiej niepewności zagraża nieznajomej naszej niebezpieczeństwo widzenia go wówczas, gdy tam nie był, lub niewidzenia jakkolwiek był... i dla tego wolała pozostać w domu.

— Twoja ostrożność jest godną pochwały, to pewna przecież, że Federico nie był na balu.

—Tem słuszniejszy powód, by naszą nieznajomą pozostawić z mężem w domu; bo młoda, piękna kobieta, choćby pozostawała bezimienną, zawsze nieosobliwe robi wrażenie, gdy pisze na przykład: „Okrutny, nie przyszedłeś, daremniem cię oczekiwała,“ a Federico tem łatwiej byłby zwietrzył sidła, zastawione przez klubowych swych znajomych.

— Słusznie, słusznie... jeśli nie poszedł na bal, oczekiwać będzie takiego tylko listu.

— No, ale przypuśćmy, że popchnięty ciekawością, zaszedł na bal.

— Wówczas oczekuje czy to od nieznajomej czy od klubistów takiego mniej więcej pisma: „Co za roskosz! jakie szczęście! Widziałam cię!“ A że ani o roskoszy, ani o szczęściu nie ma tam mowy, przeto pocznie wątpić czy to żart, a zwolną nabędzie zaufania, zapali się do tej sprawy, pocznie pilnie uczęszczać do baronowej C. i zalecać się gorliwie do wszystkich bywających tam pań... aż w końcu zakocha się w której na serjo.

— Tak będzie—wymówił Romolo i smutne jego rysy rozjaśniły się takim swobodnym uśmiechem, jaki zwykle tylko na twarzy Gioachina bywał gościem — tak to; ale to nie wszystko jeszcze.

— Jeszcze nie wszystko.

— Oczywiście. W domu baronowej bywają piękne kobiety, ale również i brzydkie, a te należy wykreślić z rachuby; następnie nie wchodzą również w rachunek wszystkie stare, potem te wszystkie, o których cały świat wie, że są zakochane w swych mężach, a nakoniec te, które nie są ani stare, ani brzydkie, ani zakochane we własnych mężach ale Federicowi się nie podobają; zesumujmyż teraz cały rachunek: ileż pozostanie ich do wyboru? Jeśli Federico rzeczywiście poszedł na bal, wtedy uwagę swą poświęcił wyłącznie tylko nielicznemu pocztowi pań...

— Wyborna myśl! — zawołał Gioachino; — byłażby to pani X. lub pani Y? będzie sobie zadawał pytanie. I gdy tak wątpi jeszcze, następny list oznajmia mu, że piękna nieznajoma zupełnie nie znajdowała się na balu. I naraz Federico, ktory począł się już był zalecać do pani X. lub pani Y, poczyna myśleć o wszystkich innych kobietach, nieobecnych na owym balu. Jeśli zaś nie był na balu, wywiaduje się pilnie o wszystkie, znajdujące się na nim mężatki, a w każdym razie poczyna uczęszczać na wieczorki baronowej, by uwagi jego nie uszła żadna z ukazujących się tam piękności. W każdej z nich naturalnie dopatruje się drugiego rozdziału swego romansu; i tak zabawia się czas jakiś, jeśli już nie zakochuje na prawdę i nie zostaje choćby na chwilę szczęśliwym... bo jedno wypływa z drugiego a w atmosferze mody dojrzewają złe myśli.

Gioachino zapewnił ponownie, że intryga Romola jest nieopłaconą, następnie złożył gazetę, włożył w kopertę, nalepił na niej adres z pojedynczych powycinanych liter i ręka w rękę wyszedł z przyjacielem rzucić arcydzieło w pierwszą z brzegu skrzynkę pocztową.

— Co za pyszny wynalazek te puszki do listów! — rzekł Gioachino.

A Romolo dodał.

— Co za pyszny wynalazek ten druk!

— Jednej rzeczy wszakże nie wziąłeś pod rozwagę — zawołał przecież w chwilkę potem Gioachino.

— Czegoż to? — spytał Romolo i aż stanął.

— Do czego prowadzić musi twoja intryżka?

— Do czegoż? A, to prawda, nad tem się nie zastanawiałem zupełnie.

— Aha! widzisz o tem nie pomyślałeś!

—Alem ja myślał nad tem i powiadam ci, że ona zakończy się prawdopodobnie wiarołomstwem małżeńskiem.

A gdy maleńki człowieczek wygłaszał smutny ten prognostyk, usta jego wykrzywił nieujęty uśmiech.

Romolo przerażony stanął nieporuszenie i twarz przeciągnęła mu się strasznie, ale przyjaciel jego bynajmniej nie zbity z tropu — ciągnął dalej:

— By to doprowadzić do skutku, nie zaniedbałeś niczego: w perspektywie ukazałeś zazdrosnego męża, jednego z rodzaju tych, co to...

Romolo mimowolnie zwrócił się wstecz; zdawało się, że radby cofnąć rzuconą na pocztę gazetę, ale w czas opamiętał się, że skrzynka równie nieubłaganie zamyka w sobie wszystko, jak wszystko usłużnie przyjmuje, i dla tego z rezygnacją poddał się swemu losowi.

Czuł w rzeczy samej jakiś żal za czyn spełniony a Gioachino próbował go pocieszać:

— Każda piękna kobieta ma co najmniej z jaki tuzin adoratorów w swym orszaku; co najwyżej zaś podburzyłeś jednego więcej wroga przeciw zdobywanej już fortecy, nie więcej. To zaś wiesz przecież, że nowożytne twierdze nie biorą się szturmem, ale wpadają w moc nieprzyjaciela zmuszone głodem, lub wydane zdradą; łatwy więc ztąd wniosek, że Federico odeprze tylko co najwyżej innego wroga, który się już zbliżył aż po ostatnie szańce, i w innym razie może odniósłby był zwycięstwo. Za to mąż przecież, który w tej sprawie najmocniej jest zainteresowanym, może ci tylko być wdzięcznym, bo co najmniej zyskuje na tem kilka tygodni zwłoki.

Te i inne uwagi w połączeniu z ową najpotężniejszą, że dokonanych faktów cofnąć nie sposób, przyniosły ulgę nieco zaniepokojonemu sumieniu Romola.

Tegoż wieczora, spytała go Gabrjela podając czarną kawę, czy się nie widział z panem Federico; a Romolo, którego myśl również Federicim była zajęta, jakkolwiek siedział przy Tranquillinie, spytał ją z kolei, dla czego o to go pyta.

— No, bo za chwilę prawdopodobnie zobaczymy go tu samego — rzekła nawpół poważnie, nawpół żartem.

— Zkąd to pani wnosisz?

— Co tam pan jej słuchasz — odezwała się Tranquillina — z naszej córki niepoprawna dziwaczka; nabiła sobie głowę tem, że pan Federico znieść jej nie może i niczego nie pragnie tak gorąco, jak powiedzieć jej to przy sposobności bez ogródek. Gdyby jej posłuchać, możnaby sądzić, że to jest jedyny cel bywania jego u nas, że każde jego słowo jest wstępem do jakiejś uszczypliwości. To dziwactwo, nieprawdaż?

Każde jej słowo w sercu Romola znajdowało oddźwięk jak dawna muzyka odbijająca się o sklepienie starej katedry.

— To rzeczywiste dziwactwo — odpowiedział smutnie — nieprzebaczone dziwactwo.

— Dziękuję bardzo — rzekła Gabrjella; — tego wszakże pewna jestem, że i dziś tu przyjdzie... no, już jest... poznaję go po sposobie dzwonienia.

Był to on w samej rzeczy.

Wszedł, usiadł; rozmawiał o najróżnorodniejszych rzeczach, ale daremnieby ktoś chciał dopatrzeć w jego rozmowie oczekiwanych przymówek lub złośliwości. Wreszcie spytała go Gabriella:

— Cóż tam porabia pańska nieznajoma?

— Nie ustaje w swej korespondencyjnej manji.

Romolo i Gioachino zamilkli i powstrzymali oddech.

Federico rozwinął gazetę i czytał znudzonym głosem:

— „Widziałam cię! Co za rozkosz dla mego serca!“

— Mylisz się — przerwał mu nieopatrznie Gioachino, spoglądając na współwinowajcę znacząco.

— Nie mylę się, toż tak tu jest.

— Gioachino sądzi — objaśniał Romolo — że twa nieznajoma nie mogła cię przecież widzieć na balu, skoroś na nim nie był, że przeto musi tu zachodzić jakaś pomyłka.

— Nie ma żadnej pomyłki, tak a nie inaczej tu napisane i odczytał do końca list, sławiący w najnapuszeńszych wyrazach „rozkosz serca.“

Gioachino i Romolo, owinięci w togę milczenia zdawali się zastanawiać głębol o nad zadaną im zagadką.

— Skoro pan nie byłeś na balu, rzecz jasna, że to żart — rzekła Tranquillina.

— Byłem na balu — odparł Federico, ale mimo to jest to żart, nic więcej.

Gdy obaj nierozłączni opuszczali dom doktora Trombetty mówił Gioachino do Romola:

— Zdaje mi się, że zgaduję kto pisał ów list drugi.

— I ja odgadłem: Gabriella!

— Naturalnie nikt inny tylko ona; bo też nikomu ta myśl przyjść nie mogła do głowy; nie wie, że to my jesteśmy „nieznajomą“ i sądzi, że nikt nie zdoła odkryć, że to ona; ale po co ten żart prowadzi dalej?

— By jego przekonać, że to żart tylko, gdy tymczasem sama innego jest mniemania.

— By Federica ukarać za próżność, ośmieszyć szaleństwa nieznajomej i pomścić swój rodzaj... jak widzisz ona zawsze jednaka. Matka jej ma słuszność: ta dziewczyna ma rozum kobiety ale nadużywa go na pełnienie psot dziecinnych; jest sprawiedliwą aż do tyranji, aż do niesprawiedliwości; skoro wydała wyrok, nie zasypia już spokojnie dopóki go nie spełni.

— Biedny Enea — zawołał Gioachino.

— Chcesz powiedzieć pewnie: biedny Federico! — poprawił Romolo; spostrzegłszy wszakże złośliwy uśmiech przyjaciela, przejrzał nagle

i w zamyśleniu wymówił: może ty i masz słuszność; biedny Enea!

Że przecież wszelkie niejasności wykluczone były z ich wzajemnego stosunku, Gioachino więc pospieszył objaśnić jak należało rozumieć owo politowanie i okazało się, że Romolo najzupełniej jednako je pojął.

Gioachino mówił:

— Dopoki Gabriella nie może cierpieć Federica i czuje potrzebę okazania mu tego, dopóki go nienawidzi i wzajem pracuje na jego nienawiść, nie znajdzie ona nigdy czasu na zakochanie się w innym.

Romolo przecież, który nie małą przywiązywał wagę do głębokości swych spostrzeżeń dodał poważnie:

— Miłość jest sama w sobie skończonem uczuciem; ma ona sta ócz, sta uszu, sta języków i tyleż mów, ale jest ślepą, głuchą i niemą w szlachetnym swym egoizmie; poziome uczucia nie mają przystępu do serca, przepełnionego miłością.

— Gabrielli nie przyjdzie na myśl nawet, — zawyrokował Gioachino — że gdzieś na świecie jest jakiś inżynier, oczekujący w kawalerskim stanie na jej decyzję i noszący imię Enei.

I tak stało się obu jasnem to, co już przedtem każdy z nich pojmował, acz nie zdawał sobie z tego sprawy, że istotnie należało żałować biednego Enei.

Pozostawały już przeto do rozwiązania dwie tylko zagadki.

Dla czego Federico tylko Gabrielli list odczytał, nie wspominając nic o drugim, który przecież treścią był tamtemu wręcz przeciwny?

Czemu utrzymywał, że był na balu, jakkolwiek dowiedzionem już było, że tam nie był?

Niebawem znalazło się rozwiązanie obu zagadek. Federico chciał pozostawić Gabriellę w tem mniemaniu, że wierzy w istnienie nieznajomej, którą ona głośno nazwała ograniczoną, jakkolwiek sam był pewnym niemal, że to tylko żart przyjaciół z klubu.

I z tego chaosu niepewnych domysłów wyłoniła się myśl również niejasna, nieokreślona jeszcze, którą obaj przyjaciele kiwając głowami w tych złowróżbnych streścili słowach:

— Kto wie? Nie można ręczyć... Być może! Nic niemożliwego pod słońcem! (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

LOGIKA ALEKSANDRA BAIN'A.

Tłumaczenie z angielskiego 2. t. Warszawa 1878.

Piśmiennictwo nasze wzbogaconem zostało świeżo dziełem, które, chociaż jest tylko tłumaczeniem, wystarczy za całe tuziny oryginalnych, pisanych bez talentu i znajomości rzeczy. Jestto logika Bain'a, którą nas obdarza bezimienny tłómacz. Wziąwszy pod uwagę wartość dzieła, które dla pedagogicznych zalet cieszy się uznaniem całego świata wykształconego, oraz doskonałość tłómaczenia tak pod względem czystości języka, jak i wiernego oddania treści, z przyswojenia go naszej naukowej literaturze możnaby spodziewać się bardzo wielu korzyści. Powiadam, możnaby spodziewać się, albowiem dla tego, żeby tłómaczenie logiki Bain'a przyniosło naszemu społeczeństwu rzeczywistą korzyść, potrzeba, by naprzód zadość uczyniono pewnemu małemu warunkowi, a mianowicie: żeby logikę tę czytano. Czytano logikę? i to ma się nazywać małym warunkiem?... My, czytać logikę!... a nam ona na co? Czy i bez niej myśleć nie umiemy? Niech ją sobie czytają oschli pedanci, dla których cały świat jest w ich bibułach zbutwiałych; niech ją sobie czyta flegmatyczny Niemiec, który przy kuflu piwa zdolnym jest całe lata medytować nad jakimś frazesem z Kanta lub Schopenhauera! Myśmy ludzie gorącej krwi i nie umiemy myśli swej krępować w powijaki scholastycznych formułek. Nasi ojcowie obchodzili się bez logiki i my się też bez niej obejść potrafimy. Dla tych, którzy szukają prawdy pod nogami, stąpając po ziemi żółwim krokiem z latarką w jednem ręku, z haczykiem w drugiem, jak owi gałganiarze, co się grzebią w śmieciskach w nadziei, że coś znajdą—dla takich logika może się przydać. Lecz my innej szukamy prawdy i inne też drogi prowadzą nas do niej. Jestto prawda nie z tego świata, przybytkiem jej są górne sfery ideału, dokąd po drabinie sylogistycznych formułek nie dostać się, dokąd myśl ludzka tylko orlim lotem natchnienia przedrzeć się zdoła! Dla jej osiągnięcia nie rozumu wyćwiczonego w logicznych subtelnościach potrzeba, ale głębokiego uczucia, wznoszącego myśl nad poziom świata, ale filozoficznej intuicji, wprowadzającej ducha w bezpośrednie zetknięcie się z prawdą absolutną! Że tego rodzaju argumentacja przeciwko logice i w ogóle ścisłemu myśleniu nie jest osobliwością u nas, dowodzą głosy babilońskiej mądrości, wygłaszane w szpaltach jednego z naszych pism codziennych. Prawda, że tego rodzaju illuminatów, wygłaszających à la Izajasz prawdy, które mogłyby spowodować babilońskie pomięszanie pojęć, z każdym dniem ubywa nam coraz więcej. Jakoż, gdybyśmy ich tylko mieli na względzie, dalibyśmy im pokój, i na ich sceptyczne zapytanie: na co logika zda się? odesłalibyśmy ich po odpowiedź do jednej z bajek Krasickiego, zaczynającej się od pytania: na co rozum zda się? Lecz na nieszczęście, oprócz tych, są jeszcze inni, którzy, inne wyznając zasady, trafne mając przekonanie o zakresie działania tak rozumu, jak i uczucia, z tem wszystkiem podzielają tradycyjne uprzedzenie do logiki i utrzymują, że jeżeli i mogłaby być jaka korzyść z uczenia się logiki, korzyść ta jest tak maluczka, że nie zdoła ona opłacić wyłożonego na jej nabycie czasu i trudu. Twierdzenie to i oparty na nim wstręt do logiki są bardzo słuszne, ale tylko w odniesieniu do logiki, jak ją dawniej pojmowano. W istocie, logika, pojmowana jako nauka o koniecznych prawach myślenia, była jedną z tych, które z trudnością dają się nauczyć, ale które za to po nauczeniu się z łatwością zapominają. Jej scholastyczne subtelności, przybrane w dzikie formułki, wypowiedziane suchym, martwym językiem, nie mogły mieć żadnego praktycznego użytku. Był to niepotrzebny balast, który wtłoczony w młodą głowę, naciskał na mózg i stawał się powodem osowiałej zarozumiałości głupca, dysputującego o wszystkiem. Wzgląd, że uczenie się logiki było dla myślenia naturalnego gimnastycznem ćwiczeniem, nadającem mu zręczność, giętkość i pewność siebie, nie zdoła uratować scholastycznej logiki od potępienia; korzyść ta bowiem w porównaniu z kosztem, ceną którego ją się nabywało, jest za mała, by się o nią uganiać i dla niej marnować siły, z większym pożytkiem na inne cele użyć się mogące. Wszystko to jest prawda, ale prawdą jest także, że logika dzisiejsza bynajmniej nie jest podobną do logiki dawniejszej. I co jest słusznem w zastosowaniu do tamtej, pozostaje niem być, gdy się mówi o tej. Logika dzisiejsza, będąc dzieckiem swego czasu, wiernem odbiciem panującego dziś w nauce kierunku, nie jest suchym inwentarzem formułek, wysmażonych w klasztornej ciszy przez stetryczałe mózgi mnichów. Uważając za swe zadanie, podać czytelnikowi wszelkie sposoby, jakich badawczy umysł może użyć w celu wykrycia prawdy i jej udowodnienia, zmierza wprost do celu praktycznego i, mając za przedmiot swój rzeczywistość, jak ona się przedstawia każdemu, kto zachował zdrowy rozsądek, odznacza się życiem i jasnością, które są charakterystycznemi cechami wszystkiego, co się nie mija z prawdą.

Umysł ludzki po tylko ciężkich, bezowocnych doświadczeniach przekonał się nareszcie, że nie dano mu pojąć prawdy absolutnej, że do istoty rzeczy myślą swą dotrzeć nie potrafi, że jedynym zakresem wiedzy, zapewniającym mu korzyści z badania, jest świat zjawisk fizycznych i psychicznych, i wykrywane w tych zjawiskach stosunki. Wyrzekłszy się tedy płonnej gonitwy za absolutną prawdą, po niebie, umysł ludzki zstąpił teraz na ziemię, i uznał, że jedyną prawdą dla niego jest rzeczywistość, jest porządek jej stały i niezmienny; że drogą wiodącą do jej wykrycia i zbadania jest postrzeganie i doświadczenie, które dają nam pojąć szczególne zjawiska, jest indukcja, która nas prowadzi do poznania ogólnych zjawisk, powszechnych fenomenów. Dedukcja, która przez dawniejsze logiki uważała się, jako zasadnicza forma myślenia, jako jedyna metoda, wiodąca do poznania prawd koniecznych, zajęła w logice nowej podrzędne stanowisko. Całe jej zadanie sprowadzonem zostało do tego tylko, by służyła ku sprawdzeniu w danym wypadku ogólnej prawdy, o ile ta da się zastosować do jakiegoś szczegółu. Wszystkie zaś prawdy ogólne, jakie posiadamy bądź drogą własnej pracy, bądź pracy wieków, po których odziedziczyliśmy, uważają się dziś jako nabytki indukcji, wyprowadzającej wnioski ze szczegółów o ogóle, tworzącej sądy ogólne na podstawie sądów szczególnych. Zasadniczą bowiem formą myślenia jest wnioskowanie z jednego szczegółu o drugim mniej lub więcej mu podobnym, a to na podstawie instynktowej wiary, nieświadomie kierującej ludzkim umysłem, że porządek rzeczywistości jest niezmienny, że co się raz gdzie zdarzyło, to się gdzie indziej i po raz wtóry zdarzyć może, gdy te same nastąpią warunki.

W duchu powyższych zasad napisaną jest właśnie logika Bain'a, której pierwszy tom poświęcony jest wykładowi dedukcji, drugi, indukcji. W układzie swego dzieła poszedł autor za ustalonym zwyczajem, i dedukcję umieścił przed indukcją. Ta zbyteczna grzeczność autora nie może być poczytana mu za zasługę. Dzieło jego traci przez to na systematyczności wykładu, co więcej, ucierpiały na tem względy czysto pedagogiczne, które nakazują zaczynać naukę od tego, co jest proste i łatwe, a dopiero później, powoli, przechodzić do tego, co jest trudniejszem i bardziej złożonem. Wada ta wszakże bynajmniej nie zmniejsza wartości dzieła, które pod względem popularności wykładu, połączonej z gruntownością, nie ma sobie równego. Najsuchsze formy sylogizmu przedstawione są w niem z takiem życiem i w sposób tak łatwy, że czytelnik najmniej zaprawny do tego rodzaju lektury, może je czytać z przyjemnością, a przynajmniej z łatwością i bez znużenia myśli. Jakkolwiek logika Bain'a może się wydać na pierwszy rzut oka prostem skró-

ceniem logiki Milla, po bliższem wszakże rozpatrzeniu się w niej, musimy przyznać, że jest ona samodzielnem opracowaniem, w którem rzeczy stare, na nowych oparto podstawach, rzeczom zaś nowym, właściwy autorowi, nadano rozmiar, jaki się okazał niezbędnym dla tego, by dzieło mogło mieć prawo do oryginalności. Co się tyczy polskiego jej tłumaczenia, to już powiedzieliśmy, że opowiada ono tyle zalet, że nie pozostaje nam, jak podziękowawszy tłómaczowi za jego sumienną i umiejętną pracę, prosić go jeszcze o to, by zechciał nas po kolei obdarzyć tłómaczeniem psychologii Bain'a.

Władysław Kozłowski.

(*Na Żmudzi. Dzieje Nadniewiezkiego pułku 1863 do 1864. Według otrzymanych z Litwy notat napisał Feliks Lewicki, 8ka str. 94. Lwów 1879 r.*)

Powstanie 1830—31 r. znalazło dwóch znakomitych historyków w Maurycym Mochnackim i Ludwiku Mierosławskim, którzy wszechstronnie je opisali, a chociaż przedwczesna śmierć jenerała Mierosławskiego nie dozwoliła mu dokończyć 8go tomu, to jednak pod dwoma głównemi względami, politycznym i wojskowym, historja tego powstania została wyczerpująco opracowaną, nie pozostawiając nic więcej do życzenia.

Wręcz przeciwnie stało się z historją powstania 1863—64. Rozpoczął wprawdzie Agaton Giller pisać dzieło pod tytułem „Historja powstania 1863—64" ale wydał tylko 4 pierwsze tomy wstępne nie dotarłszy jeszcze do samego powstania, a i te tomy zawierają tylko surowy, krytycznie nie opracowany materjał. Nie mamy więc żadnego dzieła, któreby dało nam obraz tego powstania tak pod względem politycznym jak i ruchów wojskowych. Jeżeli dotąd nie znalazł się nikt, coby przedstawił polityczną stronę powstania, to nie ulega wątpliwości, że pod tym względem pierwej lub później powstanie to opracowane zostanie. Ale trudniejszą będzie rzeczą przedstawienie ruchu zbrojnego. Aby dokładny obraz takowego przedstawić, potrzebaby mieć monografje pojedyńczych oddziałów, a takich monografji, prawie zupełnie nie mamy, działacze zaś sami zstępują do grobu nie pozostawiając pamiętników. Wielka szkoda, że przez to jedna z najświetniejszych kart historji polskiej pozostanie nie wypełnioną, tak jak nie posiadamy historji Konfederacji Barskiej.

Pan Lewicki daje nam przyczynek do historji powstania 1863—64 r. świeżo wydaną książeczką. Szkoda tylko, że opisaniem pułku Nadniewiezkiego zajął się właśnie p. Lewicki, który tam nie był i tylko z cudzych notatek korzystał, nie będąc w możności ich ocenić. Szkoda, że raczej pułkownik Nadniewiezkiego pułku, p. Kuszłejko, sam nie spisał pamiętnika, który przez to stałby się nierównie cenniejszym.

O istnieniu pułku Nadniewiezkiego wcaleśmy nie słyszeli dotąd. Z książki p. Lewickiego dowiadujemy się, iż liczył on 4.200 ludzi (?), tembardziej dziwi nas, że o istnieniu tak znacznego oddziału nic dotąd nie wiedzieliśmy. Wprawdzie oddział ten istniał od marca 1863 do czerwca 1864 r. i prawie żadnej bitwy nie stoczył, ograniczając się zaledwie na paru potyczkach.

W województwie kowieńskiem istniało wiele oddziałów jak: Sierakowskiego, Jabłonowskiego, Kołyszki, Mackiewicza, Ludkiewicza, Laskowskiego, Bitisa, Łukaszunasa, Cytowicza. O tych oddziałach wspomina autor nie dając o nich dokładniejszych wiadomości, o co zresztą trudno mieć do niego pretensje, skoro na miejscu nie był i korzystał tylko z notatek.

Sam opis pozostawia bardzo wiele do życzenia, widzimy ten pułk nadniewiezki jakby przez mgłę tylko. Dlaczego autor występując z krytyką postronnych działaczy nie krytykuje działania samego Kuszłejki, dlaczego go zawsze chwali i tam nawet, gdzie wcale na to nie zasługuje. Tak np. Kuszłejko używał często sposobu praktykowanego i po innych oddziałach rozpuszczania żołnierzy do domów. Na str. 32 czytamy: „Oddział też pozbawiony oficerów swoich i broni, (a przecie Kuszłejko dobrowolnie odstąpił oficerów i broń innemu oddziałowi) był sparaliżowany w działaniu, niezdolny tem samem nie tylko do ataków, ale nawet do własnej obrony. Okazało się więc *najpraktyczniej* oddział rozpuścić." Rozpuszczenie to było z powodu świąt wielkanocnych, na kilka dni oznaczając termin zebrania się w niedzielę przewodnią. Dalej czytamy: „W same święta pułkownik (Kuszłejko) otrzymał list, w którym naczelny wódz powstańczego ruchu na Litwie, jenerał Sierakowski, zapytał się Kuszlejki, czy może natychmiast zebrać oddział swój rozpuszczony. Było to w czwartek po wielkiej nocy." Kuszłejko odpowiedział, że przed niedzielą nie może. Sierakowski napadnięty przeważającemi siłami moskiewskiemi pod Birżami po trzydniowej walce został pokonany i sam ranny dostał się do niewoli i został powieszony w Wilnie. Połączone oddziały pod dowództwem Sierakowskiego liczyły około 3.000. Oddział Kuszłejki zebrał się w przewodnią niedzielę w liczbie 4.000 piechoty i 200 kawalerji, jak podaje autor.

Zapytujemy teraz czy było *najpraktyczniej* rozpuszczać oddział na święta, kiedy ten oddział chociażby nie cztery ale tylko jeden tysiąc żołnierzy liczył mógł tak wiele zaważyć w bitwie pod Birżami?

Musimy tu sprostować podaną wiadomość o sporze jenerała Mierosławskiego z pułkownikiem Jabłonowskim i o sumach litewskich, o której autor mimochodem wspomina.

Mierosławski wraz z nominacją na jeneralnego organizatora sił zbrojnych po za granicami Polski otrzymał od Rządu Narodowego asygnację na wszystkie fundusze narodowe, jakiekolwiek po za granicami kraju się znajdą (oprócz wysyłek pieniężnych z Warszawy). Na mocy tego zażądał od pułkownika Jabłonowskiego złożenia do kasy jeneralnej organizacji sum które tenże posiadał. Pułkownik Jabłonowski wysłanym został za granicę przez Komitet Litewski z zupełnem pełnomocnictwem działania na korzyść powstania na Litwie i otrzymał fundusze do swojej dyspozycji. Mierosławski zaprzeczał prawa Komitetowi Litewskiemu działania na własną rękę i spór został nierozstrzygnięty, bo Rząd Narodowy żadnej decyzji nie dał. Po upadku powstania pułkownik Jabłonowski uważając swój mandat za zgasły, odwołał się do wychodźców z Litwy, aby odebrali pozostałe fundusze. Emigracja z Litwy wybrała komisję do przyjęcia pieniędzy i delegację do zdecydowania co z niemi zrobić. Delegacja oświadczyła, *że pieniądze te mają nienaruszone być przechowane i oddane przyszłemu Rządowi Narodowemu.* Potem komitet emigracji zabrał te pieniądze i użył — na jaki cel? nie umiemy powiedzieć, bo o ile nam wiadomo, nie złożył dotąd sprawozdania.

Autor całą tę sprawę przedstawił najzupełniej fałszywie.

Smiesznym wydać się także musi tytuł nadawany przez autora Sierakowskiemu *Hetmana Wielkiego Litewskiego.* Rząd Narodowy w żadne tytuły się nie bawił i nawet nie miał potemu sposobności, bo ani Sierakowski przed wstąpieniem do powstania, zasług wielkich nie położył, ani powstanie na Litwie nie wytworzyło armji, ażeby dla niej zamarzyło się komu hetmana mianować. Największym hetmanem na Litwie był Kuszłejko, skoro hetmanił aż przeszło 4 tysiącom ludzi.

Jakkolwiek praca p. Lewickiego nie ma wartości pamiętnika pisanego przez naocznego świadka, jakkolwiek nie zawiera żadnych prawie dat i tylko z opisu lasów, słońca, deszczów, orjentować się możemy, w którym miesiącu jakiś wypadek się wydarzył, jakkolwiek opis oddziału Kuszłejki nie jest przedstawiony w związku z działaniem innych oddziałów i tym sposobem sam pozbawiony tła; to jednak odczytanie jej nie pozostaje bez korzyści. Autor notatek brał udział w powstaniu i spisał wiernie o ile wiedział wszystko co wiedział, i to nadaje koloryt obrazkowi. Szkoda, że raczej same notatki nie zostały oddane do druku byłyby nierównie cenniejszym materjałem.

Książka daje nam obrazek z powstania jakkolwiek nie miły ale prawdziwy. Widzimy ludzi spieszących do broni, znoszących głód, niewygody, ludzi z poświęceniem, których niedołęstwo dowódców, niedołęstwo Komitetu Litewskiego i niedołęstwo Rządu Narodowego trzyma bezczynnymi, demoralizuje i oddaje na łup wrogowi zaprzepaszczając świętą sprawę. Obrazek jest tak wiernym, że z małemi zmianami da się zastosować do każdego oddziału powstańczego z 1863 r.

W braku więcej wyczerpującej pracy o powstaniu 1863 r. radzimy każdemu biorącemu się do pisania pamiętników odczytać ustęp o powstaniu 1863 w dziele p. t. *Ostatnie lata dziejów powszechnych.* Jest to bowiem jedyny choć krótki, ale kompletny obraz powstania styczniowego.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Z powodu ostatniej konfiskaty, otrzymaliśmy następujący wyrok sądowy:

„W Imieniu Jego Cesarskiej Mości!"

C. k. Sąd krajowy dla spraw karnych we Lwowie, postanowił zatwierdzić zarządzoną przez c. k. Prokuratorję Państwa konfiskatę czasopisma „Tydzień Polski" z 4. maja 1879. Nr. 14. z powodu umieszczonego w nim artykułu pod napisem „Wolność i państwo" zawierającego znamiona zbrodni z §. 65. lit. a. u. k. i wzbronić dalsze rozpowszechnianie tegoż.

Z c. k. Sądu krajowego karnego.

Lwów, 7. maja 1879.

Mogilnicki.

* * *

Wstyd mię już przed czytelnikami i samym sobą, że znowu kronikę moją rozpocząć muszę od utyskiwań nad pogodą. Pięć dni i nocy już leje zimny deszcz jak z cebra, a i szóstemu coś źle z oczów patrzy. Z tem wszystkiem, nie wspominałbym o tem, gdyby nie podejrzenie, że może ten deszcz jest początkiem prologu, do powtórnego potopu, bo wtedy czytelnicy moi nigdyby mi nie darowali, żem ich o tem nieuwiadomił. Lecz pominąwszy tak odległą ewentualność, ten żart wiosenny zaczyna naprawdę być dokuczliwym dla wszelkiego rodzaju katarów, o czem najlepiej wiedzą szanowne gospodynie i małżonki mężów cierpiących na hypochondrją. Że my zwyczajni prozaicy gniewamy się na

płaczliwą aurę, jeszcze pół biedy, ale wyobrazić sobie co tam musi dziać się w duszach skowronków, poetów, słowików i tych niestrudzonych chórów żabich, które wyegzercytowawszy od miesiąca wszystkie kawałki koncertowe w polskiem i ruskiem narzeczu, dzień wystąpienia odkładają od jutra do jutra, co jak wiadomo deprymująco wpływa na powodzenie tych uczt muzykalnych.

Szczęściem, że wśród takich przygotowań do powszechnego potopu, mogliśmy dzięki panu Henrykowi Sienkiewiczowi odbyć w ubiegłym tygodniu maleńką wycieczkę do Ameryki. Tak jest, byliśmy tam razem z prelegentem i widzieliśmy wszystko, co on tam widział i słyszeliśmy ten zgrzyt śruby okrętowej statku wiozącego polskich emigrantów na drugą połowę świata, czuliśmy kołysanie się jego, zaduch pod pokładem, tęsknotę, żal, obawę, a w końcu zobojętnienie tych biednych ofiar niemieckich spekulantów na wszystko, co ich otacza. Żal ściska serce, słuchając opowiadań naocznego świadka, co to się dzieje z tymi biedakami, rzuconemi bez opieki, bez pieniędzy, bez znajomości języka na bruk takiego miasta, jak Nowy Jork w Ameryce. Doprawdy, nikt jeszcze z podróżo-pisarzy naszych nie potrafił z taką prawdą, z siłą i uczuciem odmalować tych strasznych przejść dobrowolnych wygnańców polskich, jak to przedstawił p. Sienkiewicz na odczycie w sali ratuszowej. O ile dały się streścić w półtoragodzinnej prelekcji dzieje rozrzuconych osad polskich emigrantów po różnych miejscach Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, o tyle zaznajomił nas z nimi pan Litwos z tą smutną konkluzją, że osady takie dla narodowości naszej muszą być prędzej lub później stracone. Wśród wiekowej walki, jaką prowadzić musimy na własnej ziemi o najmniejszy kawałek chleba, doprawdy że takie marnowanie sił narodowych dla obcych interesów, jest grzechem nie do darowania. Wdzięczni zatem jesteśmy panu Sienkiewiczowi, że otworzył nam w tym względzie oczy, a jeszcze bardziej bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciał wrażenia z tej podróży do Ameryki opisać w przystępny sposób do pojęcia ludu. Książeczka taka napisana z takiem ciepłem i prawdą jak to pan Sienkiewicz potrafi, rozeszłaby się w tysiącach egzemplarzy między lud wiejski i daleko szlachetniej przyczyniłaby się do powstrzymania wychodztwa niż wszelkie środki policyjne i zakazy władz miejscowych.

Czytelnicy Tygodnia znają już utwory pana Sienkiewicza, i podzielą przekonania nasze, że nikt dziś nie potrafi w ten sposób grać na sercach i uczuciach ludzkich jak utalentowany autor „Hani“, której druk w naszym „Tygodniu Polskim“ niedawno ukończyliśmy. Dosyć powiedzieć, że jego „Szkice węglem“ malujące z niezwykłem życiem i prawdą stosunki gminne w królestwie, do tego stopnia oddziałały tam na czytającą publiczność, że wpływowi ich powiększej części przypisać należy wzięcie udziału obywateli wiejskich w wyborach i zarządzie gminnym, co jak wiadomo zbawienne przyniosło owoce.

Odczyt p. Sienkiewicza mimo nieprzyjaźnych okoliczności dla tego rodzaju prelekcji, sprowadził licznych słuchaczy do sali Magistrackiej i przyjęty został nadzwyczaj sympatycznie, jak rzeczywiście i talent i sama osoba młodego powieściopisarza naszego zasługuje.

O koncercie p. Barcewicza, znajdą czytelnicy oddzielne sprawozdanie, a my za to pochwalić się musimy tylu tryumfami tego tygodnia dla sprawy narodowej, że doprawdy aż serce się raduje iż delegacja nasza przy schyłku swego życia politycznego, tak świetnie się popisała.

Najprzód mamy już teraz na serjo obiecany fakultet medyczny na Uniwersytecie lwowskim. Izba większością głosów przyjęła wnioski pp. Hausnera i Czerkawskiego i zdaje się na rok przyszły Uniwersytet lwowski zostanie uzupełniony. Dalej przyznano wreszcie temuż Uniwersytetowi język polski jako wykładowy i urzędowy, o czem nas p. Rektor Biliński w odezwie publicznej zawiadomił. Potrzecie i to dzięki panu Wolskiemu, jest nadzieja, że sprawy prasowe tak u nas jak i w całej Austrji doznają pewnego uwzględnienia, a raczej słusznie im należącej się obrony, albowiem tak zwane objektywne postępowanie w sprawach prasowych ma wtedy mieć tylko zastosowanie, jeżeli nieznanem jest nazwisko autora. — Kraków dostał nareszcie prawdziwego biskupa krakowskiego w osobie Jego Excellencji księdza Dunajewskiego, czego ze względu na osobiste przymioty ze wszech miar najgodniejszego tego zaszczytu prałata tylko mu powinszować można. Wreszcie ukonstytuowanie się komitetu wyborczego we Lwowie, z przybraniem wybitnych osobistości miejscowej intelligencji, dają nadzieję, że jesteśmy na początku końca secessji Koła polskiego w Wiedniu, i że przyszłe wybory do Rady państwa zgromadzą wszystko to, co kraj ma najlepszego, bez względu czy w sposób konserwatywny czy też w liberalny kocha wspólną naszą ojczyznę. Komitet zabrał się do dzieła bardzo energicznie, od wyborców więc zależy poprzeć tę intencję dobrze myślących obywateli i wysłać ludzi, którzy godnie odpowiedzą położonemu przez naród zaufaniu i popchną dążenia nasze o krok naprzód.

Za to z pod zaboru moskiewskiego coraz smutniejsze nadchodzą wieści. Carska psiarnia zaczyna brawować po swojemu, wyszukując spisków i źle myślących, aby pochwalić się przed rządem ze swej gorliwości, nie dopuścić żadnych ulg dla ciemiężonej od lat tylu narodowości. Od czasu ogłoszenia stanu oblężenia, aresztowania i zsyłki do Rossji są tam już na porządku dziennym siejąc trwogę i niepokój w stosunkach, które już zaczęły się jakoś na zwykły tor organicznej pracy kierować. Biedny ten kraj i biedna przyszłość jego! Ile razy podniesie się z upadku materjalnego, tyle razy diejatiele moskiewscy zapuszczają ręce do jego kieszeni i biorą się do podbierania miodu, który te skrzętne pszczółki zgromadzić potrafiły.

* * *

Znaczna liczba członków i gości zebrała się na wtorkowe posiedzenie Tow. Przyrodników. Zagaił je wice-prezes, prof. Niedźwiedzki, zawiadomieniem o nowych członkach, którzy się zapisali do towarzystwa. Następnie pierwszy wykład miał Dr. J. Ochorowicz „O prawach przemiany sił“. Streściwszy rozwój historyczny rozwinął on przykładem szereg praw rządzących przemianą wzajemną ciepła, światła, dźwięku, elektryczności i ruchu oraz siły chemicznej. Niektóre z tych praw nie były dotychczas sformułowane, to też prelegent przedstawił je w formie hipotetycznej, wykazując jednak wielkie ich prawdopodobieństwo. Zakończył obietnicą obszerniejszego opracowania w tym duchu siły powszechnego przyciągania oraz zastosowanie tych zasad ogólnych do fizjologii i psychologii, co ma być przedmiotem następnego wykładu. Odczyt ten przyjęto oklaskami. Następnie prof. Fabian wyłożył treść kilku nowszych prac matematyczno-fizycznych, a między innemi badania doświadczalne rodaka naszego p. Puluja (docenta w Wiedniu) nad teorją radiometru. Wreszcie prof. Radziszewski w krótkich słowach streścił świeżo dokonane badania prof. Nenckiego w Strasburgu nad *serem Rokfordzkim* i nad *bakterjami*. Co do pierwszego, panowało dotychczas przekonanie, że wartość jego polega głównie na starości, t. j. odleżeniu się w piwnicy, podczas którego miała się powiększać ilość tłuszczu i ser nabierał znanego zapachu pleśni. Otóż okazało się, że pierwsze przekonanie jest wprost fałszywem, drugie zaś polega na bardzo łatwej zabawce. Oto poprostu pomiędzy warstwę sera wkładają chleb spleśniały, którego zapachem ser przesiąka. Mniemana więc starość sera tego jest tylko udaną. Co do drugiego, to prof. Nencki na zasadzie analizy chemicznej wykazał, że drobne te istotki zwane bakterjami, dla których ujrzenia potrzeba szkieł 2000 razy powiększających, są co do składu swego, zwierzętami nie zaś roślinami.

* * *

Według naszego zdania, za mało jeszcze dotychczas zwrócono uwagi na ostatnie doroczne posiedzenie akademji umiejętności w Krakowie i na sławne przemówienie księdza Kalinki o cudownych zjawiskach za czasów Stanisława biskupa, zwanego świętym. Drobiazgi oburzały naszą prasę, wystąpienie publiczne z przymieszką skandalu nie zwróciło jakoś uwagi i zaledwie obdarowano je kilkoma słówkami. A przecież to rzecz nie małej wagi. Na swych dorocznych posiedzeniach Akademja występuje do pewnego stopnia przed narodem, przypomina swe istnienie, objaśnia cele i zadania, daje bilans rocznej pracy naukowej. Otóż na to uroczyste wystąpienie, prezydowane przez gubernatora a zastępcę kuratora, wybrano do odczytu publicznego ks. Kalinkę, znanego wszystkim na wskróś tendencyjnego badacza historycznego i namiętnego ultramontanina, który ku oburzeniu nawet większości członków Akademji, jął prawić kazanie na temat mistyczno-historyczny o cudach Stanisława biskupa, o niedowiarstwie w jego świętość u niektórych królów polskich, o okropnych karach, które na nich za te zbrodnie pospadały i o wielu innych rzeczach tego pokroju. Ciało naukowe dopuszczające na wystąpieniu publicznem odczyty o cudach, Akademja, dozwalająca zaznaczać przed narodem swój kierunek wsteczny i swą przynależność do pewnego stronnictwa, przecież to widowisko szczególne, przypominające owe operetki Offenbacha, w których potężni bogowie Olimpu tańczą kankana pod dźwiękiem swywolnej muzyki. Czem kankan na Olimpie, tem i cuda średniowieczne w Akademji. Jakże żądać potem, żeby ją traktowano na serjo i nie uważano za posłusznych sług księży i panków krakowskich a nie swobodnych i niezależnych mężów nauki. Występ publiczny, to nie wyskok jednego z członków, to praca skontrolowana przez zarząd, to niejako program akademicki. A tu tymczasem obok najwsteczniejszych przekonań, słyszy się opowiadania o rzeczach, które z nauką poważną nic a nic nie mają wspólnego. I dziwić się potem, że akademja nasza najmniejszej powagi nie posiada w kraju, że nikt nawet nie ugania się o jej członkostwo, jako o

jakiś zaszczyt szczególniejszy. Ba! były nawet wypadki, że nie przyjęto wcale tego zaszczytu. Jeden ze znanych polskich uczonych, odrzucił ofiarowany mu tytuł, oświadczając wręcz, iż do wstecznej pracy ręki przyłożyć nie chce. Smutny to fakt, ale prawdziwy i dosadnie malujący nasze stosunki akademickie.

Przyszłość nasza cała leży w postępie ogólnym ludzkości. Nie matactwa dyplomatyczne wyprowadzą nas z obecnego smutnego położenia, lecz ten potężny prąd, niczem nie złamany, unoszący ludzkość ciągle naprzód ku światłu i wolności. Przed nim ugiąć się muszą i głowy przykryte koronami, i te, które wyniosłe infuły zdobią i wielcy wodzowie i wszystko to, co jest uważanem za najpotężniejsze i dzierżące w swem ręku losy ziemi. Niechże nas ta chwila dobra nie znajdzie w ciemnych szeregach tych, którzy już są morituri w cywilizowanym świecie, w szeregach walczących za przesądy i niech świat o tem nie wie, że są między nami tacy szermierze walczący na marne i rozkazujący słońcu by się wstrzymało. A tymczasem jakby naumyślnie robimy w ostatnich kilku latach wszystko, aby tylko nas o wolnomyślność i postępowe zasady nie posądzono. Akademja, która u nas szczególniej powinna reprezentować to, co naród ma najlepszego, systematycznie podąża w tym kierunku i coraz jaskrawiej się manifestuje.

Do czegoż z czasem dojdziemy? Teraz na posiedzeniach uroczystych mówią o cudach — z czasem usłyszymy może ładniejsze rzeczy. Posiedzenia odbywać się będą uroczyściej. Członkowie zjeżdżający się z różnych stron kraju po trzydniowej rekollekcji, będą się spowiadali i karteczki od spowiedzi będą okazywane przed wejściem do sali. Posiedzenie otwiera się wspólnem odśpiewaniem kantyczek i odmówieniem litanji do Wszystkich świętych. Jeden z członków w szatach biskupich odczytuje telegram donoszący o całorocznym odpuście bezpłatnym dla członków Akademji i o obdarzeniu kilku członków orderami papieskimi. Radość niewymowna i szczere łzy wzruszenia za tyle niespodziewanych dobrodziejstw. Następuje odczyt. Wielki profesor fizjologji mówi obecnie o stolikach wirujących i przedstawia nowy sennik spisany na podstawie najnowszych badań w dziedzinie widziadeł i stosunków pozagrobowych. Następują doświadczenia przy pomocy jednego z krawców lwowskich z przywoływaniem duchów, gitarami grającemi w powietrzu w zaciemnionej sali i tajemniczą szafką à la Davenport, etc. etc.

Utinam falsus sim vates.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** *Oświata ludu w obec prądów współczesnych rzecz Jerzego hr. Dunina Borkowskiego.*

Z prawdziwą przyjemnością wzięliśmy broszurę do ręki, tembardziej że autorem jej jest hrabia. Sądziliśmy że sprawa tak ważna dla przyszłości narodu naszego jak oświata ludu, zjednała dla siebie zwolenników nawet w sferach tak zwanych arystokratycznych. Niestety doznaliśmy tem większego rozczarowania. Autor broszury uwierzył tendencyjnym bredniom *Czasu* (jak gdyby można było wierzyć w cokolwiek co ten organ pisze), że w Krakowie propaganda socjalistyczna zrobiła niejakie postępy, i uznał za stosowne napisać broszurę, której tytuł podaliśmy wyżej. Jest ona napisaną stylem bardzo napuszonym na 10 stronicach druku cytuje wielu poetów poczynając od Jana Kochanowskiego, a kończąc na „krótkowidzącym" (tak!) Słowackim. Przytacza przysłowia francuskie, greckie, niemieckie i łacińskie oświadcza przeciwko ustawie szkolnej, żąda szkół wyznaniowych, się mianuje Garibaldego i Bismarka ojcami socjalizmu i nareszcie żąda, ażeby w szkołach uczono rzemiosł i gospodarstwa wiejskiego.

Z tym ostatnim, ale tylko z tym jednym punktem możemy się z autorem zgodzić. Umiejętność czytania i pisania nie stanowi bynajmniej oświaty, ale umiejętność ta jest niezbędną, dla każdego co się chce oświecać, jest niejako kluczem do dalszego kształcenia i pomijaną w szkole w żaden sposób być nie może. Wykłady praktyczne rzemiosł i gospodarstwa wiejskiego powinny zajmować bez zaprzeczenia jedno z najpoważniejszych miejsc w szkołach ludowych, ale obok tego koniecznem jest rozwijać umysł i wzbogacać wiedzę wiadomościami z nauk przyrodniczych, geografii i historji, szczególniej geografii i historji ojczystej. Nie przeczymy, że nauka gramatyki, która tak dużo czasu zabiera w szkołach ludowych, za małe oddaje usługi, a uczeniem języka niemieckiego zabija się daremnie czas, że i wykłady religji możnaby oddzielić i pozostawić wyłącznie kościołowi.

Co się tyczy socjalizmu, to niech autor będzie zupełnie spokojnym, jeszcze u nas na palcach dadzą się liczyć jednostki, które rozumieją co to jest socjalizm, jeżeli są takie jednostki. *Czas* nie dlatego porobił socjalistami wszystkie niemiłe mu osoby, że sam nie wie co to jest socjalizm ale że to było potrzebne dla polityki stańczyków, aby przestraszyć szlachtę zmorą socjalizmu i zaciągnąć ją do obozu stańczykowskiego.

*** *Śpiewnika Polskiego*, wydawanego nakładem Księgarni Polskiej wyszedł z druku zeszyt 8 zawierający w dalszym ciągu 68 piosnek miłosnych.

*** Został już ukończonym druk przekładu znakomitego dzieła Ryszarda Reppla p. t. *Dzieje Polski*. Dzieło to przez wielu historyków jest cenione wyżej od oryginalnych prac historyków polskich. Niemiecki autor potrafił wznieść się na stanowisko zupełnie bezstronne, a nie będąc krępowany temi względami, na które historycy nasi nie raz oglądać się muszą potrafił napisać dzieło wzorowe. O pracy tej zresztą pomówimy obszerniej na innem miejscu.

*** *Kosmosu*, czasopisma Polskiego Towarzystwa Przyrodników imienia Kopernika, zeszyt III. zawiera: Wyciąg z protokołów posiedzeń. O wylewach wody w Wielickiej kopalni, przez A. Strzelbickiego. Teorja rozpłodu płciowego w swym pochodzie historycznym, przez Zygmunta Kahanego Nowe foraminifery kredowe margla lwowskiego opisał Emil L. Dunikowski. (z tabl. lit.) Kronika naukowa przez E. Godlewskiego, M. D. Wąsowicza, Fr. Kamieńskiego i L. Hodolego. Wiadomości bieżące.

*** *Polityka Brandeburgska* w latach 1655—1657 skreślił Izydor Dzieduszycki. Kraków 1879.

*** *Oblężenie miasta Poznania przez Patkula.* Epizod kampanji roku 1704, napisał Kazimierz Jarochowski. Wydanie drugie. Poznań 1879 r.

Są to dwie bardzo cenne prace historyczne jako przyczynek do rozjaśnienia epoki wojen szwedzkich w Polsce.

*** Bibljoteka Warszawska w zeszycie za m. Maj zawiera: I. Przegląd literatury hiszpańskiej. Przez Juljana Adolfa Święcickiego. II. Cnota i występek przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. III. Z dziedziny przyrodoznawstwa, przez T. Skomorowskiego. IV. Kronika paryzka. V. Przegląd literatury polskiej, Dzieje polski w zarysie p. M. Bobrzyńskiego przez T. K. VI. Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego. VII. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne. VIII. Nekrologja. IX. Od redakcji. Lista prenumeratorów Bibljoteki Warszawskiej za r. 1879.

Nekrologja.

*** † D. 3. b. m. zmarł w Paryżu Tomasz August *Olizarowski*, poeta niepospolitego talentu urodzony w r. 1814 na Wołyniu. Należał on do tak zwanej szkoły ukraińskiej, a chociaż wystąpił wtedy, gdy Malczewski, Zaleski, Goszczyński i tylu innych zdawało się wyczerpali już wszystkie kierunki możliwe tej szkoły i wszystkie smutne i dzikie piękności stepów ukraińskich przelali w słowa, wystąpił najpóźniej, a mimo to w jednej chwili zdobył sobie rozgłos, że nie powiemy — sławę. Już jako uczeń szkoły krzemienieckiej licząc zaledwie lat 18 drukował w pismach perjodycznych swoje poezje, w których opiewał Ukrainę i jej mieszkańców. Wystąpiwszy raz w tym kierunku, który głęboko wkorzenił się w jego umysł i później szedł temi szlakami dalej. Jego większe a późniejsze poemata „Zawierucha", Topir góra i „Softy" również na tem tle są osnowane. Talent Olizarowskiego należy do oryginalnych; naśladowcą pomimo to, że tylu miał potężnych poprzedników, nigdy nie był, oryginalność ta nawet często wiodła go na manowce — ale nigdy nie zezwalała na kopiowanie. W późniejszych szczególnie czasach, gdy autor „Zawieruchy" zwrócił się ku dramatom, okazało się, że niewłaściwą obrał drogę. Jego talentu zakresem była liryka i epika, dramaturgiem nigdy być nie mógł. Zacząwszy od „Wincentego z Szamotuł" są to wszystko poemata dramatyczne odznaczające się pięknym barwnym językiem, ale dalekie zawsze od głębszej prawdy psychicznej. Mimo to jedna z tragedyj „Bóg nie da" uzyskała nagrodę na konkursie krakowskim. Olizarowski zostawił kilka dramatów w rękopismie; szerszej publiczności znany on jest z wybornego tłómaczenia fragmentu dramatycznego Mickiewicza p. t. „Konfederaci", których jak nam mówiono, dokończył. W ostatnich utworach swoich Olizarowski usiłował sprowadzić poezję na jakieś abstrakcyjne filozoficzne tory. Z tem wszystkiem godzi się powiedzieć, że z Olizarowskim traci literatura nasza współczesna jednego z bardzo utalentowanych i oryginalnych poetów.

*** † Bierzyński Roman, ur. 1798 r., był referendarzem w b. Radzie Stanu, pisał „Myśli o stowarzyszeniu kredytowem właścicieli domów w Warszawie po polsku i po niemiecku (1850). „O opiece nad zwierzętami" (1863). „Sommatologie de la femme" (1869). „O stosunku człowieka do przyrody" (1866 i 1867). „Jeszcze słówko o kobiecie" (1870).

*** † Burzyński Piotr, prof. Uniw., członek Akademii, Dr. praw, autor „Wykładu prawa cywilnego francuzkiego", „Prawa polskiego prywatnego" i wielu innych rozpraw, † w 64 roku życia w Krakowie.

ŻONA POLEGŁEGO

Nowella węgierska

MAURYCEGO JOKAYA

przełożył

ALEXY MINZ.

(*Dokończenie*).

IV.

Nad ranem dopiero przybyła wdowa do swojego oddalonego pomieszkania.

Ale tego, dla którego właściwie przyszła. młodego oficera sztabu, już nie zastała.

Wskutek nowego rozłożenia wojsk, został on posunięty o jedną stację dalej, a wdowa, przybywszy do swego domu, zastała tam oprócz kilku szeregowców, w własnym swym pokoju podoficera, ktory wchodzącą ostro zapytał: czego tam szuka?

— „Jestem gospodynią tego domu" — rzekła spokojnie.

— „Ah! Bardzo dobrze! Właśnie otrzymałem nakaz, odesłać gospodynię zaraz za jej ukazaniem się tutaj, do najbliższej stacji".

— „Nakaz? Od kogo i dla czego?"

— „Od tego samego majora, który tu stał przedemną i który jest moim przełożonym. Po co? Na to odpowiedzieć nie mogę, gdyż to jest już rzeczą nie moją.

Kobieta nie odrzekła nic na to; dała rozkaz woźnicy z którym przybyła, ażeby ją zawiózł na miejsce oznaczone; podoficerowi zaś oddała klucz własnego pokoju, nadmieniając sarkastycznie: „Skoro pan dom mój zająłeś, więc czuwaj pan także nad moją własnością".

Podoficer przywołał trzech grenadjerów i kazał im eskortować wdowę.

— „Na cóż to?" — zapytała obrażona.

— „Grenadjery mają panią eskortować".

— „Czy robisz pan to wskutek otrzymanego rozkazu?" — zapytała ostrym tonem.

— „Takie są u nas zwyczaje" — odrzekł podoficer sucho i zamknął drzwi.

Grenadjery siedli na wóz, obok i naprzeciwko niej.

Była bladą jak trup; usta jej były aż białe ze złości, milczała jednak, i nie zdradzała, co się w niej działo.

Po drodze rozmawiała z grenadjerami. Wszyscy trzej byli Polacy. Mówiła z nimi dużo, o odważnych zamysłach, i o wielkich podziwu godnych czynach. Grenadjery przysłuchiwali się jej uważnie, patrzali na nią i podziwiali ją coraz więcej. Niczego nieświadomi, poili się uwodzącą wymową, płynącą z ust tej kobiety, a gdy woźnica zatrzymał się w jednej wiosce, przed karczmą, by dać wytchnąć koniom, zaczęli go rozpytywać w jakiej stronie stoją wojska węgierskie?

I wszyscy trzej, przeszli do wojska węgierskiego.

Wdowa została samą. I ona mogłaby była uciec, gdyby tylko chciała. Lecz tego nie uczyniła. Gdyby nawet młody major, nie był ją powołał, byłaby go sama wszędzie szukała. Kazała się więc odwieść do oznaczonego miejsca; tam zapłaciła woźnicę i odesłała go napowrót do domu, do wsi położonej aż w trzecim komitacie. Po odjeździe woźnicy nikt nie mógł jej dowieść, w jaki sposób dostała się tutaj.

Łatwo dopytała się majora, do którego była właściwie posłaną. Z twarzą, na której ani śladu złości nie było, weszła doń. a uważając na jego przystojnem młodzieńczem obliczu, niezwykłą oziębłość i odpychającą surowość, udała bardzo przestraszoną i zapytała go drżąco:

— „Panie majorze! gniewasz się pan na mnie?“

Można było mniemać, iż kobieta ta boi się i drży teraz, w chwili właśnie gdy kładła fundament do przeprowadzenia planu, mającego zniszczyć, zniweczyć przedmiot jej zemsty.

— „Pani“—zaczął major zimnym wymuszonym głosem,—„pani zechcesz przebaczyć, iż kazałem ją sprowadzić tutaj,... ale obowiązek“.

— „Daruj pan, pan mnie nie kazałeś tutaj sprowadzić, przybywam tu sama, z własnej woli i chęci“.

Major się zdziwił.

— „A więc nie przysłał panią tutaj mój podoficer, którego w jej domu zostawiłem?“

Uśmiechnęła się, zarumieniła, spuściła oczy. Wszystko to tylko z wyrachowania.

— „Porucznik pański, mnie posłał... to prawda, ale nie tutaj. Dał mi poznać, iż chcesz mnie pan kazać oddalić, i namawiał mnie bym się gdzieś ukryła, w miejscu, jemu samemu tylko wiadomem. Ja jednak uważając, iż człowiek ten patrzał na mnie szczególnemi oczyma, wolałam powierzyć się panu niż jemu.

Major, gniewny, uderzył pięścią o stół.

— Natychmiast posłać mi po wachmistrza Kleina“—rzekł do wchodzącego ordynansa. Gdyby wachmistrz znalazł się tam, w owej chwili, major pewnoby go był zarąbał pałaszem. Samo nieposłuszeństwo rozkazom, konszachty z tą, którą miał uwięzić, mogły już było rozdrażnić przełożonego a cóż dopiero gdy gniew jego podniecała zazdrość okropna.

Takie wzruszenie umiała wywołać ta kobieta kilkoma tylko słowy.

— „Więc pani przybyłaś sama?“ — zapytał ją namiętnie, ale nie już tym zimnym wymuszonym tonem co pierwej.

— „Zupełnie sama, jak pan widzisz“.

— „I cóż spowodowało panią do tego?

Kobieta włożyła ręce, i rzuciła na żołnierza wzrokiem tak uwodzącym, tak uśmiechniętym, tak nęcącym do piekła...

— „I pan nie możesz tego odgadnąć?“

Młody major był oczarowany urokiem tego spojrzenia. Jej uśmiech olśniewający, blask wielkich pragnących tych oczu, odurzający zmysły, zdziałał tyle, iż zapomniał zupełnie, że to oskarżona i jej sędzia, stoją naprzeciw siebie. Rzucił się jej do nóg, okrywał pocałunkami jej ręce, i nie mógł oderwać się od czarujących jej oczów.

Nie dostrzegł on bowiem, po nad uśmiechniętą tą twarzą, groźnego zmarszczku na czole, zimno czuwającego nad maskową grą tych rysów.

— „Przedewszystkiem,“ — rzekła usuwając się z afektacją, mówmy o tem, dlaczego Pan się na mnie gniewasz? dlaczego, gdybym nie była przybyła sama, chciałeś pan kazać mnie tutaj sprowadzić?“

Major rzucił się żartując na sofkę, i starał się przyciągnąć ją do siebie.

—„Więc pani byłabyś mniej domyślną odemnie?“

— „Ależ, bez żartów, musi przecież być w tem jakaś przyczyna, jakiś powód, by mnie kazać sprowadzić tutaj pod eskortą?“

— „Przez dłuższy czas nie było pani w domu. Ludzie mówili, iż bawisz jako szpieg w obozie węgierskim. Miałem zatem prawo kazać panią uwięzić i tutaj sprowadzić“.

— „Ludzie mówili prawdę“.

— „Jakto?“ — zapytał zdumiony oficer patrząc się serjo, i smutno w twarz kobiety, której żaden rys się nie zmienił.

— „Tak jest, przychodzę z tamtąd; to ludzie wiedzą bardzo dobrze; ale nie wiedzą dla kogo szpieguję, czy dla cesarskich czy dla Węgrów“.

Major się zmięszał, zaczął ją podejrzywać i rzekł:

— „Pani! martwiłoby mnie to bardzo, słyszeć rzeczy, któreby mnie zmusiły do mniemania, iż mijasz się pani z prawdą. Lepiej zatem, żebyśmy o tem więcej nie mówili, gdyż mogłoby się stać, że smutny obowiązek, coby mi nakazał ukarać dłuższą niebytność pani w domu, byłby silniejszym od radości, jaką mi sprawia obecność pani tutaj“.

— „Nie, przeciwnie, mówmy o tem! Masz pan przecież dosyć szpiegów. Weź pan ich raporta i porównaj czy nie mówię prawdę“.

—„Dobrze! Zapytam panią o jedną rzecz tylko“—rzekł major patrząc się na złożony papier: „Po której stronie przygotowuje się powstańcze wojsko w Szemnicach, najbardziej do obrony?“

— „Na żadnej! Nie ma go już tam“.

Major zdumiał się na taką odpowiedź.

— „A więc przebił się do Krzemnic?“

— „Wcale nie. Poszedł ku Szelaknie“.

— „Ależ to jest niepodobieństwem! — zawołał major, wskazując ręką na raporta szpiegów. „Ten tu pisze, że koło Szelakny stoi nasz korpus tak silny, iż Węgrzy musieliby tam stracić połowę swego wojska, chcąc się przebić tamtędy.

— „Pańscy szpiedzy nic nie warci!“ — rzekła biorąc mu z rąk papier, i rozdzierając takowy“. Nieprzyjaciel opuścił Szemince, gościńcem, nie straciwszy ani jednego żołnierza, w biały dzień, przy odgłosie muzyki. Teraz będzie już pod Branjiszko, a może nawet i dalej“

— „To jest bezsensem, niemożliwością!“

—„Tamtejsi jenerałowie mówili to samo, gdy ich o tem uprzedzałam. Wiedziałam z pewnością. iż wódz węgierski chce wpaść na kark, kurpusowi cernującemu Szelaknę, za pomocą marszu przez góry; lecz panowie jenerałowie wierzyli więcej oficjalnym swym szpiegom, donoszącym o pozornym ataku na Körmecz.

Major jeszcze nie ochłonął z zadziwienia, gdy wpadł do stancji kurjer z depeszami, potwierdzającemi dosłownie doniesienia wdowy.

— „A więc ja mówiłam prawdę?“ — zapytała trjumfująco.

Major podał jej rękę.

— „A wiesz pani, którędy przeszli?“

— „Zdaje mi się że drogami górnemi“ — odrzekła niewinnie.

— „Przez góry, tak ale popod ziemią!“

—„A to szczególna; prawie nie do uwierzenia!“—rzekła składając ręce.

I w rysach tej kobiety odmalował się prawdziwy wyraz zdumienia! Któżby się był odważył pomyśleć tylko, że ona właśnie, była tą, która wskazała wodzowi węgierskiemu drogę podziemną.

Major był przekonany, że piękna ta kobieta jest przywiązaną nietylko do jego serca, ale i do sprawy której on służył. Rozmowa stawała się coraz serdeczniejszą. Hermina kokietowała, żartowała; młody sztabowiec przyciągał ją coraz bliżej do siebie; pierwej całował tylko jej ręce, potem objął smukłą jej kibić, wszystko to jednak nie bez oporu z jej strony. Każde spojrzenie czarujących jej oczu upajało go coraz bardziej, przysunął się jeszcze bliżej... gdy wtem dał się słyszeć w przedpokoju gruby głos, drzwi się rozwarły i ukazał się w nich wymieniony pierwej, właśnie w tej chwili przybyły wachmistrz.

Ktokolwiek byłby wszedł w takiej chwili, mógł się spodziewać przyjęcia wcale nie uprzejmego, o ileż więcej wachmistrz Klein, w którym major widział nieposłusznego podwładnego, a co większa, ukrytego rywala.

— „Chodź pan do drugiego pokoju!“ — krzyknął nań gniewnie, a gdy wachmistrz poszedł za nim, zaczął major wykładać mu przepisy dotyczące subordynacji i obowiązków, oraz wypadki, które za zdradę z jego strony uważane być mogą.

Wachmistrz stał jak wryty, nie wiedząc o co właściwie jest obwinionym, ale przypomniawszy sobie poufałą sytuację, w jakiej zastał majora z przysłaną mu kobietą, mniemał iż nie może się lepiej uniewinnić, jak zapewniając majora, iż zachowywał się względem tej Pani z wyjątkową grzecznością i usłużnością.

— „Wtem właśnie przewiniłeś pan! Nie miałeś waść albowiem nakazu być uprzejmym, lecz przeciwnie surowym!“

Wachmistrz w okropnym był ambarasie, wiedział on dobrze, że, co się tyczy surowości, wypełnił ściśle poruczony mu nakaz.

— „Dozwoliłeś pan obwinionej, którą kazałem uwięzić i tutaj sprowadzić, ażeby przybyła zupełnie samą.

Wachmistrz twierdził, iż kazał ją eskortować trzem grenadjerom. Major pienił się ze złości, a wskazując ręką, na siedzącą w pierwszym pokoju kobietę:

—„Pani ta sama na twierdzenie pańskie odpowie“ a zwracając się do niej: „Pan wachmistrz Klein, twierdzi iż przysłał panią tutaj pod eskortą trzech grenadjerów?“

Wdowa, niezmięszana wcale! — odrzekła spokojnie:

— „Nie wiem doprawdy, nacoby się była przydała podobna eskorta, kiedy przybyłam tutaj z własnego popędu?“

— „Pani zdajesz się chcieć zrobić ze mnie durnia!“ — zawołał podoficer. — „Szemrałaś pani nawet na mnie, że rozkazałem grenadjerom wsiąć razem z panią!“

—„Gdyby rzecz tak była się miała, nie miałabym doprawdy powodu temu zaprzeczać. Przeciwnie, zapewniam pana, iż byłabym się nań skarżyła przed panem majorem“.

— „Ależ ręczę słowem honoru, że to co właśnie twierdziłem, jest prawdą!“

— „Jeśli będziemy się sprzeczać o prawdziwość naszych twierdzeń, nigdy końca nie dojdziemy. Ja przybyłam tutaj całkiem samą, to pewna. Jeśli Pan jednak twierdzisz, że przysłałeś mnie pod eskortą, więc proszę, każ pan przywołać tych żołnierzy, których opiece mnie poruczyłeś, oni najlepsze w tym względzie zdołają złożyć świadectwo“.

Ordynans majora na dany przez tegoż znak wyszedł i wrócił niebawem, donosząc iż nigdzie tych trzech grenadjerów znaleść nie można.

Straszne zakłopotanie wachmistrza, jeśli można jeszcze się powiększyło. Czuł że ma słuszność, a widział jak mu się dowodzi coś wręcz przeciwnego.

Kobieta zaśmiała się szyderczo.

— „Nie będziesz pan przecież twierdził, iż zabiłam po drodze jego trzech grenadjerów, i że zakopałam ich w rowie przydróżnym“.

Major zaczął się już niecierpliwić i odwrócił się do wachmistrza gniewnie, z głosem, nie dopuszczającym repliki.

— „Idź pan. Jego trzej grenadjery nie istnieli nigdy. Wkrótce staniesz pan przed sądem wojennym“.

Wdowa tymczasem bawiła się obojętnie piórem wziętem z biórka majora, jak gdyby cała ta rzecz wcale jej nie obchodziła.

Gdyby była oskarżyła wachmistrza o obrazę jaką jej wyrządził, niebyłaby otrzymała żadnej satysfakcji. Tak jednak, twierdząc rzecz całkiem przeciwną, dopięła jak najskuteczniej pożądanego celu.

V.

Podczas tak długiej kampanii austrjacko-węgierskiej można było widzieć często, to tu, to tam, to w obozie węgierskim, to pomiędzy wojskami austrjackiemi, jedną i tą samą kobietę, która przybierając coraz inną postać, pokazywała się, to jako markietanka, to jako chłopka, to nawet jako mężczyzna, i ledwie że ją zoczył, już jej nie było.

Gdy miano ją w podejrzeniu i ścigano, w którym to celu nawet, krążył w obu obozach jej rysopis, nie była ona już tą osobą, której szukano. Inna była to już postać, inna twarz, inny miała już paszport, słowem żadnego nie było podobieństwa, żadnego punktu oparcia, między nią a osobą pierwotną.

Nieraz zdarzało się, że została złapaną, to przez cesarskich, to przez Węgrów. Zawsze i wszędzie jednak umiała się wykręcić, i w tej samej godzinie, w której ją uwięziono była i wypuszczoną na wolność.

Wreszcie oba wojska uważały ją za własnego szpiega, wskutek czego miała wolny przystęp do obydwóch obozów. W żadnem miejscu nie zabawiła dłużej nad godzinę, nigdzie nie mówiła z więcej jak jedną osobą, papierów nigdy przy niej nie znaleziono. Nie można było nigdy, dowieść jej, że wyświadczyła usługę nieprzyjacielowi. Raporta jej były zwykle dokładne, i dla obydwóch stron wyczerpujące. Cesarscy jednak mało mogli korzystać z tych raportów, a to z następującego powodu.

Prawie każdy z wodzów węgierskich miał zwyczaj zwoływać w przededniu bitwy, cały swój sztab jeneralny na walną naradę tej bitwy dotyczącą. Uwagom każdego z oficerów przysłuchiwano się pilnie i spisywano je. Tak mozolnie ułożony plan bitwy, przepisywano na czysto i przedkładano sztabowi, który go zwykle potwierdzał, a jednak na drugi dzień... ani znaku, ani najmniejszej styczności nie było między tak zwanym Ordre de bataille (porządkiem bitwy) a planem wczorajszym. Co się zaś tyczyło raportów o sile wojennej, wojsko węgierskie obracało takowe w niwec; gdyż liczyło ono wiele takich batalionów, których każda kompanja, na placu bitwy, znaczyła więcej niż cały batalion nieprzyjaciela.

Hermina miała wolny przystęp do naczelnego wodza węgierskiego. Często dawał on jej w odpisie cały plan bitwy z wyraźnem poleceniem doręczenia takowego nieprzyjacielowi. Raporta jej zgadzały się z raportami innych szpiegów, były jednak o wiele dokładniejsze, co też było powodem, że cesarscy mieli Herminę za swego najlepszego szpiega... Że skutki nie odpowiadały zamiarom, to nie było jej winą.

Na kilka dni przed drugą bitwą pod „Szöny“ widzimy wdowę wchodzącą do pomieszkania młodego majora.

— „Przybywasz pani właśnie w pożądaną porę.“ — rzekł tenże witając się z nią poufale. — „Rada wojenna dzisiaj znowu bardzo panią chwaliła z powodu dokładności jej raportów.“

— „Wielki dla mnie zaszczyt.“

— „Czeka teraz na panią zadanie, które może stać się koroną dotychczasowych jej działań.“

Wdowa milczała.

— „Musisz pani, przeszpiegować nam twierdzę Komarno i szańce „Szönyiskie.“

— „Nie mam do tego żadnego sprytu. Do tego potrzeba człowieka umiejętnego, obeznanego dokładnie z tajemnicami budownictwa wojennego. Cóż mogę ja, kobieta wiedzieć do czego służy ten lub ów szaniec?... a rysować nie umiem wcale. Podobne posłannictwo możecie panowie poruczyć tylko inżynierowi.“

— „Darujesz, piękna pani! Nie każdy czuje w sobie pociąg do podobnego zadania, moja Hermino! Trzeba być do tego szczególnie powołanym, posiadać właściwą sobie zuchwałość, a na razie, gdy się zostaje złapanym, wiele, bardzo wiele przytomności umysłu.“

— „Tylko nieco zręczności, nic więcej. Węgrzy albowiem nie są zbyt podejrzliwi.“

— „Przypuszczam to Hermino. Wierzę również, że można łatwo dostać się wewnątrz fortecy i szańców; ale to jeszcze nie wszystko. Być tam na każdem miejscu, i takowe odrysować, to właśnie jest zadaniem, a przeprowadzić wszystko, nie zbudziwszy niczyjej uwagi, do tego konieczna niewyczerpana przemyślność, jakiej prócz pani nikt nie posiada.“

— „Dobrze! Niechże więc pójdzie ze mną ktoś taki, co się rozumie na rzeczach. Jak w bajce ślepy i krzywy, tak my oboje razem moglibyśmy tu stworzyć potrzebną osobę.

— „Naprawdę! Pani masz dzisiaj szczególną chętkę do żartowania. Człowiek, ktoryby się odważył pójść szpiegować razem z panią, musiałby mieć do niej fanatyczne zaufanie.“

— „A więc? Czyż nie znalazłby się, podobny człowiek na całej ziemi?“ — zapytała, opierając się z uwodzącem pochlebstwem na ramieniu młodego sztabowca.

— „Więc pani myślisz... o mnie? Słowo daję, że sprawa ta wcale mi do smaku nie przypada. Byłem już ośm razy w ogniu i wiem, co to znaczy być odważnym. Do tego jednak, przyznaję, żadnej w sobie nie czuję odwagi.“

— „To prawda!“ — odrzekła szyderczo — „Tam wystarcza szał, podczas gdy tutaj.. potrzeba trzeźwości.“

— „Ja, bardzo bo jestem wybredny co do rodzaju śmierci. Jako żołnierz, chciałbym zginąć na polu chwały. Umrzeć w łóżku, to rzecz nudna. Ale na rusztowaniu!... Hermino! tam... postać śmierci jest okropną!“

— „Postać śmierci i dla mnie jest okropną. Ale człowiek na to obdarzony jest rozumem, by się strzegł. Wiesz pan przecież dobrze, że Węgrzy mają mnie za swojego szpiega, ale mimo to, łapali oni mnie już nieraz. Lecz nigdy nie znaleźli przy mnie ani jednej litery, któraby mogła świadczyć, przeciw mnie, i zaprowodzić mnie na rusztowanie.

— „Jakżeż to było możebnem?“

— „Widzisz pan ten zegarek? Prawda nieraz pytałeś się mnie, która godzina? Ale nigdy nie przyszło ci na myśl, że mały ten zegareczek pokazuje nietylko zwykłe godziny, ale nieraz też i godzinę śmierci. Oto... patrz pan!“ — i pocisnęła niewidzialną sprężynę; zegarek się otworzył, i wypadła zeń paczka cienkich, okrągłych papierków. — „Tutaj chowam notatki niebezpieczne. Oprócz mnie nikt nie umie otworzyć tego zegarka.“

Młody sztabowiec zdawał się namyślać.

— „Nie możesz się pan obawiać, żeby własna niezręczność nas zdradziła. Tylko jeden możesz mieć powód do ostrożności, mianowicie; jeśli pan się obawiasz, że ja zdradzę, a w takim razie, nie mówmy już więcej o całej tej sprawie.“

— „Dobrze! Idę z panią,“ — odrzekł major, ugodzony do żywego w najsłabszą stronę. — „Chciej się pani postarać o dwa przebrania.“

— „Najprzód o hasło. Przebraniem będzie zwykły ubiór mieszczański, jako najmniej zwracający uwagę.

* * *

W pół godziny później, wdowa i mężczyzna, który zabił jej męża, byli razem na drodze prowadzącej do obozu węgierskiego.

VI.

Późno w nocy, w jednym ze spalonych domów Komarna, tańczyli honwedzi, przy wesołym odgłosie cygańskiej muzyki.

Praktyczny jakiś Węgier zaimprowizował szynk w zrujnowanej sali. W spustoszonem tem mieście, nikt natenczas nie myślał o odbudowywaniu; wśród gruzów mieszkał, kto tylko chciał.

W jednym z pobocznych pokojów, którego drzwi prowadziły do szynku, siedzieli zupełnie sami, przebrany nasz major i wdowa, rozmawiając z sobą po cichu.

Major zapisywał notatki, podczas gdy kobieta zwracała jego uwagę to na to, to na owo.

— „Jak szczególnem byłoby,“ — rzekła nagle, wstając i wskazując na szynkownię, — „gdyby tamci wiedzieli, co pan tutaj robisz!“

— „Nie byłoby w tem nic szczególnego; jeden z nich roztrzaskałby mi głowę kulą lub pałaszem,“ — odrzekł spokojnie major, nie odrywając nawet oczu od notatek.“

— „A gdybym zawołała na nich: Żołnierze, chodźcie! Człowiek ten, jest szpiegiem austrjackim!“

Major gniewnie zerwał się ze stołka.

- „Hermino! Podobne żarty wcale nie są tutaj na miejscu.“

— „Alež, nie trzeba gniewać się za to na mnie tak bardzo,“ — rzekła żartując. — „Pokaż pan, co już sobie zanotowałeś?“ — Przy tych słowach, wzięła zegarek do rąk. — „Zegarek ten ma jeszcze jedną kryjówkę.“

— „Proszę mi ją pokazać.“

Wdowa odsunęła na bok małą blaszkę, a wewnątrz zegarka, ukazał się w miniaturze portret mężczyzny, w niebieskim dolmanie gwardji narodowej węgierskiej, z długiemi srebrnemi guzikami.

— „Kto jest ten mężczyzna?“

— „I pan go nie znasz, doprawdy?!“ — zapytała ostro, patrząc się dziko w oczy sztabowcowi. — „Jestto ten sam mężczyzna,“ — rzekła po chwili drżącym, wzruszonym głosem, przybierając wspaniałą i groźną postawę, a twarz jej cała była w płomieniach — „jestto ten sam mężczyzna, którego zabiłeś i którego obrączkę ślubną dotychczas jeszcze nosisz na palcu; jedyny mężczyzna, którego ubóstwiałam, którego jeszcze ubóstwiam; słowem, jest to mój nieszczęśliwy małżonek!“

Major zbladł jak ściana. Zdrętwiał przed zabijającem spojrzeniem strasznej w tej chwili kobiety. Nie zdołał wydobyć słowa z piersi, podziwiał ją tylko, przypatrywał się jej i nie stawiał oporu gdy postąpiła ku drzwiom.

Pierwszy jej krok był mocny... drugi już chwiejny... przy trzecim padła na kolana. Ręką ujęła klamkę od drzwi, drżąca, blada jak trup, patrzała na swą ofiarę, młodego sztabowca, stojącego wciąż nieruchomie, jak gdyby był rażony apopleksją.

— „Tylko słowo... jedno tylko słowo odemnie... a zginąłeś!“ — przerywanemi mówiła zgłoskami, oddychając gwałtownie. — „Jedno słowo... a jesteś zgubiony. Od kilku miesięcy już... pracuję mozolnie dniem i nocą, and tem... by módz cię zabić! Wreszcie mam cię w mem ręku!... Lecz teraz nie chcę twej śmierci; idź precz! uciekaj!.. ratuj się! Przyprowadziłam, przywlokłam... cię tutaj... do progu śmierci!... wracaj... nie chcę jej więcej... twej śmierci! Oddaj mi obrączkę nieboszczyka... i idź, idź sobie!...“

Major obudził się z osłupienia, zerwał się i chciał się oddalić drzwiami.

— „Szaleńcze! Gdzie idziesz? Twarz twoja zdradzi cię, kim jesteś... tamtędy, wyskocz przez okno... przepłyń Wagę... Uważaj by cię nie złapano... Ja... nie chcę twej śmierci... idź!...

Major wyskoczył przez okno, a uciekając ile mu sił starczy o zniknął wkrótce w ciemnościach nocy, pomiędzy gruzami zburzonego Komarna.

Hermina drżąca na całem ciele, trapiona gorączką, przysłuchiwała się jego coraz odalającym się krokom, a gdy ich już dosłyszeć nie mogła, padła powtórnie na kolana, a z ócz jej puściły się łzy strumieniem, płakała, wznosiła ręce do góry i jakby rozmawiając z niewidomemi duchami szeptała:

— „Jesteś-że ze mnie zadowolony?.... Czy zrobiłam tak dobrze?... pochwalasz ty to?...“

VII.

Epilog.

W kilka dni później, po wypadkach wyżej skreślonych, dwa nieprzyjacielskie wojska stoczyły krwawy bój pod obwarowanemi „Szönyami“.

Szczęście to na tę, to na owę waha się stronę... gdy wreszcie, naczelny wódz węgierski, odziany w purpurowy dolman, w czaku przystrojonem czerwonemi piórami prowadzi do szturmu swe przyboczne hufce chciwe sławy i walki...

Naprzeciw niego staje ciężka kawalerja cesarska.

Jak dwa potoki lawy, nacierają na siebie wojska nieprzyjacielskie z starszyzną na czele.

Wtem wyrywa się z szeregów cesarskich oficer, spina konia ostrogami i pędzi na wodza węgierskiego. Już szable ich skrzyżowały się; wódz ciężką otrzymał ranę w głowę; hufiec cesarski kładzie się trupem. W chwilę później zwarła się i reszta wojska. Świszczą kule, krzyżują się pałasze i bagnety, rżą konie. Ziemia i niebo pełne hałasu i wojennej wrzawy.

Walka trwa długo i krwawa. Wódz węgierski postępuje coraz to naprzód w pokrwawionym mundurze, z zakrwawionym pałaszem, z rozkrwawioną głową... a gdy wreszcie powraca... pole walki jego... rozkazuje zakopać poległych.

Lecz i jego samego zsadzają omdlałego z konia. Rana jego jest głęboka, ciężka; tylko walka była wstanie utrzymać go przy zmysłach. Hermina przybiega pielęgnować go.

W kilka minut, przynoszą Węgrzy tego, który ranił ich wodza. Nie żył już oddawna. Straszna, ciężka rana powaliła go na ziemię. Konie go rozdeptały. Hermina jednak go poznała.

A więc śmierć go nie ominęła?

Ale umarł mężnie. Umarł z ręki wodza węgierskiego; w otwartej walce, rany rozdając i otrzymując.

Z zadumanem okiem spoglądała wdowa na blade twarze obydwóch.

Któregoż z nich kochała? którego nienawidziła? Może żadnego z nich? a może obydwóch? Nikt tego wiedzieć nie jest w stanie!

Treść Nr. 16.

Z drukarni Dziennika Polskiego.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.